ŁOWIEC POLSKI



Sokół kobuz — Fot. W. Puchalski

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 11 (931) — 1 CZERWCA 1939 R.

CENA ZŁ. 1.–

WALNE ZGROMADZENIE POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Komitet Wykonawczy Polskiego Związku Łowieckiego, na podstawie § 24 statutu Związku, zawiadamia niniejszem, że

ZWYCZAJNE WALNE ZGROMADZENIE POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

odbędzie się w dniu 18 czerwca r. b. (niedziela), w siedzibie Związku, w Warszawie, przy ul. Nowy-Świat Nr. 35.

Obrady rozpoczną się punktualnie o godzinie 10-ej rano.

Porządek dzienny:

1. Otwarcie obrad.
2. Wybór 4 asesorów i 2 sekretarzy.
3. Przyjęcie protokółu Walnego Zgromadzenia z dnia 16 stycznia r. 1938.
4. Sprawozdanie z działalności Naczelnej Rady Łowieckiej.
5. Sprawozdanie finansowe za rok 1938.
6. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej Związku.
7. Budżet na rok 1939.
8. Wybory uzupełniające do Naczelnej Rady Łowieckiej.
9. Wybór Komisji Rewizyjnej.
10. Wnioski.

Na Walnem Zgromadzeniu Związku mogą być dyskutowane i poddawane pod głosowanie te wnioski, które na dwa tygodnie przed Zgromadzeniem zgłoszone zostały do Naczelnej Rady Łowieckiej. Naczelna Rada Łowiecka może jednak w razie potrzeby poddać pod dyskusję i głosowanie Walnego Zgromadzenia także wnioski, zgłoszone bez zachowania tego terminu (§ 23 statutu).

Walne Zgromadzenie Związku prawomocne jest w pierwszym terminie, bez względu na liczbę obecnych (§ 19 statutu).

Walne Zgromadzenie Związku składa się z:

a) delegatów Walnych Zgromadzeń Oddziałowych;

b) przedstawicieli Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, zaproszonych na Zgromadzenie lub delegowanych przez odnośną władzę;

c) członków honorowych;

d) osób, w danej chwili wchodzących w skład Naczelnej Rady Łowieckiej.

Na Walnych Zgromadzeniach Związku każdemu z uprawnionych do udziału przysługuje prawo jednego głosu (§ 20 statutu).



Rybak na „dzikich" wodach Polesia. Fot. A. Sznerr

W SPRAWIE NOWYCH PROPOZYCYJ NOWELIZACYJNYCH JESZCZE SŁÓW KILKA

W doskonałym artykule pod tytułem „Śrutem czy papierem" dał Pan Redaktor Garczyński w numerze 2/39 stanowczą, acz w tonie nader kurtuazyjnym utrzymaną, odprawę stowarzyszeniom i instytucjom, które we wspólnym memorjale zażądały od Zarządu Polskiego Związku Łowieckiego przychylnego ustosunkowania się do stawianych przez się postulatów nowelizacyjnych.

Jakkolwiek argumenty Pana Garczyńskiego powinny były przekonać proponentów o niesłuszności przeważnej części ich żądań, to jednak sądzę, że sprawa wyczerpaną nie jest, że nie zawadzi do niej powrócić, dalsze jeszcze argumenty przytoczyć, a może sprawę i z innego jeszcze stanowiska naświetlić. Dlatego korzystam z zapowiedzi Pana Redaktora, że w tej kwestji chętnie udzieli łamów „Łowca Polskiego".

Pomysł ograniczenia myśliwych do oznaczonej ściśle listy zwierzyny, z tym dodatkiem, że żadnego stworzenia poza listą zabijać im nie wolno, nie jest nowym. Proponował to już w r. 1933 prof. Janusz Domaniewski, a jakkolwiek jego lista była o wiele obszerniejszą, bo wyliczała ptactwo, mogące być przedmiotem łowów, całemi familjami, to jednak i taką listę, a raczej następujący po niej bezwzględny zakaz zabijania czegokolwiek innego, odrzuciła Komisja, jaka w lecie r. 1933 z inicjatywy Związku rozpatrywała sprawę nowelizacji prawa łowieckiego. Wykazano wtedy, że poza listą prof. Domaniewskiego są ptaki, które do łownych muszą być zaliczone, oraz że jest wiele ptaków, które wprawdzie nie są łowne, ale nie mają żadnych tytułów do bezwzględnej ochrony, ba! nawet, że są i takie, których zbytnie rozmnażanie się nie byłoby pożądane dla gospodarstwa rolnego, lub z innych powodów. Bezwzględny zakaz zabijania czegokolwiek poza listą nie utrzymał się wtedy i w tej ostrej formie nie powtórzył się więcej w żadnym z późniejszych projektów nowelizacyjnych.

Że między ptactwem łownem, a ptactwem, które,

ze względu na swą użyteczność lub z innych powodów, powinno być zupełnie chronione, istnieją jeszcze gatunki, których bezwzględna ochrona, nie byłaby wcale pożądaną, wyczuli, zdaje się, sami proponenci, skoro, nie mogąc sobie widocznie inaczej poradzić, zaliczyli do listy łownych dwa gatunki wróbla, który chyba w żadnej ustawie łowieckiej, kiedykolwiek na ziemiach polskich obowiązującej, nie był zaliczony do zwierzyny łownej.

Oczywiście, iż o wiele łatwiej jest wykazać obecnym proponentom, że ich skąpo pomyślana lista nie obejmuje wszystkich gatunków ptaków łownych, niż to można było zarzucić „familijnej" liście prof. Domaniewskiego.

Lista „stowarzyszeń i instytucyj" została ułożona, jak to zresztą zaraz w pierwszem zdaniu memorjału wyraźnie zaznaczono, na podstawie zdatności lub niezdatności poszczególnych gatunków do spożycia.

Podstawa taka jest zaiste bardzo chwiejna i nie wytrzymuje krytyki. Naprzykład zamieszczone na liście głuszce i cietrzewie nie cieszą się bynajmniej opinją dobrego pieczystego. Oczywiście, że jest tak dlatego, iż głuszce, będąc wyłącznie, a cietrzewie przeważnie, strzelane na tokach wiosennych, zostawiają myśliwemu tylko egzemplarze najstarsze, a wychudzone wskutek wysiłków tokowych i przebytej dopiero co zimy, skąpej w karmę. Byłoby zapewne inaczej, gdyby chodziło o sztuki tych ptaków młode, a więc strzelane w lecie, z podrywu; ale gdyby ten rodzaj polowania był uprawiany na głuszce wogóle, a na cietrzewie intensywniej, jak to się dzieje obecnie, to może ptaki te byłyby już dziś taką rzadkością, jaką np. są, z innych zresztą zupełnie przyczyn, dropie.

Ten stan prawny, że głuszce i to wyłącznie koguty wolno strzelać tylko przez dwa miesiące na wiosnę, a cietrzewie samice tylko przez 14 dni w lecie, i to w kilku zaledwie województwach, jest zupełnie zgodny z przekonaniami ogółu prawowitych myśliwych, którzy tych ptaków nie pożądają na pieczeń, lecz jako wysokiej klasy trofeum.

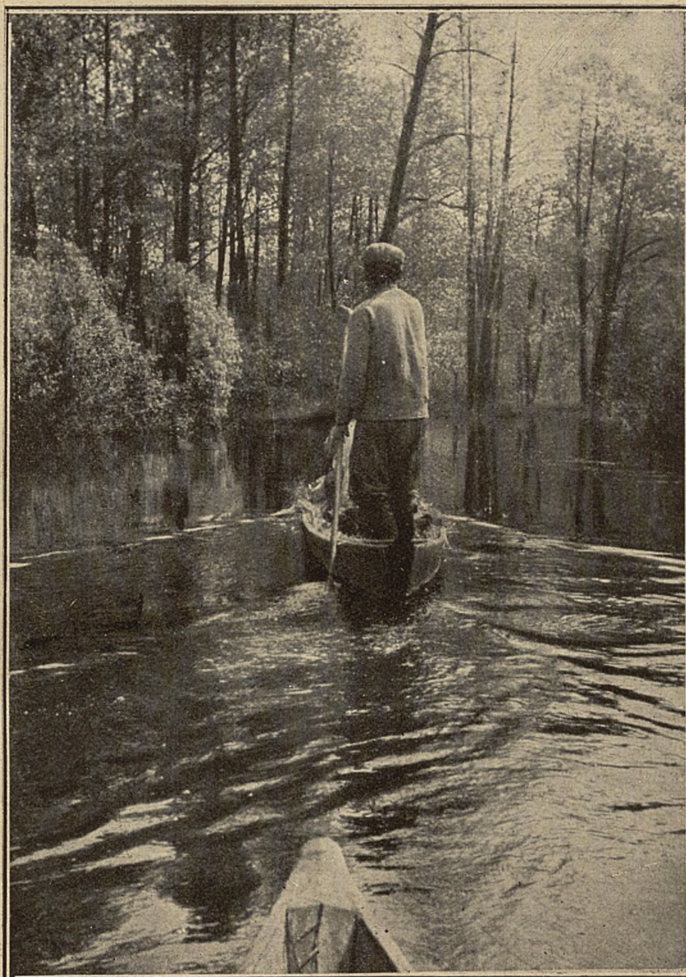
Są też gatunki dzikich kaczek, których mięso, jako przesiąknięte tranem, nie odpowiada wcale podniebieniu, a przynajmniej wybrednemu podniebieniu Polaka, a tymczasem proponenci wszystkie gatunki kaczek „ofiarują" myśliwym.

Dlaczego jednak nie figurują na liście wodnik, *Rallus aquaticus* i derkacz, *Crex crex*, tudzież turkawka, *Turtur communis*, które są niewątpliwie ptakami łownemi, a których mięso nadaje się doskonale do spożycia?

Do spożycia nadaje się też łyska, która odpowiednio przyrządzona przypomina smakiem sarninę, a nawet i czapla, która w wiekach średnich uchodziła za specjał, jak to przypomniał świeżo Mgr. Dunajewski w zeszycie wydawnictwa „Ptaki fauny słodkowodnej".

Ale niezależnie od mniejszej lub większej smakowitości wymienionych wyżej, a także wielu innych gatunków, trzeba o nich powiedzieć to samo, co Pan Garczyński powiedział już o dropiach, żórawiach i łabędziach, że świat łowiecki na skreślenie ich z listy łownych nigdy się nie zgodzi, bo je zawsze uważał i uważa także nadal za łowne, a więc nawet wtedy, gdy one stały się rzadkiemi, w którym to wypadku uzasadnioną być może nawet zupełna, przez szereg lat powtarzająca się ochrona, ale nie utrata charakteru ptactwa łownego.

Zauważyć też należy, że za tem zaliczeniem przemawiają przy poszczególnych gatunkach i inne jeszcze względy. Bo np. łyski występują na naszych stawach bardzo licznie, a powszechnie wiadomo, że dzikie kaczki unikają przebywania i gnieżdżenia się w ich sąsiedztwie, nie można przeto myśliwym już dlatego zabraniać strzelania łysek, w celu oczyszczenia stawów z tej hałaśliwej czeredy.



Na Bobryku w Łuninie. Fot. Adm. M. Borowski

Licznie występują u nas czaple, zwłaszcza czapla siwa, a jakkolwiek wspomniany już Mgr. Dunajewski twierdzi, że ich szkodliwość dla gospodarstw rybnych jest znacznie przesadzona, to jednak ona bezwzględnie zaprzeczyć się nie da. Nie można przeto zabronić zupełnie strzelania czapli, skoro to nieraz jest podyktowane koniecznością tam, gdzie one gromadnie występują. Ten odstrzał musi we własnym interesie wykonywać myśliwy, jeżeli jest sam w posiadaniu gospodarstwa rybnego, co jest teraz bardzo częstym wypadkiem, wobec licznie zakładanych stawów sztucznych, i ten odstrzał powinien on wykonywać, ze względów sąsiedzkich, gdy gospodarstwo rybne na jego terenie położne należy do kogo innego, bo art. 73 ust. o rybołóstwie z 7 mar-

ca 1932 r. Nr. 35 poz. 357 Dz. U. R. P. dozwala uprawnionemu do rybołóstwa zabijać zwierzęta dla rybołóstwa szkodliwe, ale nie bronią palną i sposobami niedozwolonemi prawem łowieckiem; a więc zabijać chyba wiosłem lub drągiem do popychania łodzi, co wobec czapli nie jest przecież wykonalne!

Osobnego omówienia wymaga stanowisko, jakie „stowarzyszenia i instytucje" zajęły wobec ptactwa krukowatego.

Proponentom prawdopodobnie wydawało się, że skoro do wrony siwej i sroki, na które prawo łowieckie pozwala cały rok polować, dodadzą jeszcze i sójkę, to myśliwi, uznająd taką „hojność", do innych gatunków tej rodziny nie będą mieli pretensji. Zapomnieli jednak, że poważnym szkodnikiem użytkowego zwierzostanu jest także kruk, ten największy przedstawiciel krukowatych, i że właśnie w ostatnich czasach w pismach łowieckich z wielu stron na tę jego szkodliwość zwrócono uwagę i że on wreszcie wcale do ptaków rzadkich, którym groziłoby wymarcie, nie może być zaliczony, bo w okolicach mu odpowiadających występuje bardzo licznie.



Z podrywu Fot. M. Szczepański

Sprawę kruka omówił zresztą już obszernie Pan Garczyński.

Inne krukowate, a mianowicie gawrony i kawki, są wprawdzie ze stanowiska ściśle łowieckiego obojętne, gdyż szkody w użytkowym zwierzostanie wyrządzają tylko wyjątkowo, a trofeum żadnego nie przedstawiają, ale nie mają też one żadnego tytułu do zupełnej ochrony, a może nawet i nie do tak długiej corocznej ochrony, jaką im daje obecnie obowiązujące prawo łowieckie.

Zaprzeczyć oczywiście nie można, że gawrony są tępicielami pędraków i innych szkodliwych dla rolnictwa larw, ale z drugiej strony przyznać też chyba należy, że zbytnie ich rozmnożenie się bywa i dla rolnika uciążliwe, gdy całemi masami obsiądą sterty, w zimie dla zmłocki odkryte, lub spadną na wiosnę na pola, świeżo obsiane jęczmieniem lub obsadzone kukurydzą.

Nie przyczyniają się też one bynajmniej do upiększenia rodzimego krajobrazu, a przy większej ilości czynią pobyt w parkach niemiłym, uprzykrzając się ustawicznym krakaniem i zanieczyszczaniem ścieżek i trawników swemi odchodami. Niszczą też drzewa w parkach, obłamując bez wyboru gałązki drzew dla założenia gniazd.

Uciążliwe są też w parkach i sadach kawki, gdy występują masowo, bo objadają doszczętnie dojrzałe lub dojrzewające czereśnie i wiśnie. W miastach zaś cisną się one na strychy kamienic, a nieraz zatykają gruntownie gałązkami kominy, w których zakładają lub usiłują założyć swe gniazda.

Zdaje mi się wreszcie, że właśnie m a s o w e m u w y s t ę p o w a n i u p t a c t w a k r u k o w a t e g o n a l e ż y p r z y p i s a ć b r a k ś w i e r g o t u d r o b n e g o p t a c t w a ś p i e w a j ą c e g o w naszych ogrodach i gajach. Jakkolwiek bowiem dorosłe osobniki tego ptactwa nie potrzebują dla siebie samych obawiać się agresji ze strony krukowatych, to jednak obawiają się jej dla piskląt i jajek, w gniazdach złożonych, i dlatego albo zupełnie unikają ich sąsiedztwa, albo czując ich bliskość milkną.

Utrzymanie przeto ptactwa krukowatego w ramach ilościowo przyzwoitych jest konieczne, a jego racjonalny odstrzał jest środkiem chyba etyczniejszym, niż praktykowane często w miastach zrzucanie gniazd z pisklętami lub jajami przez straż pożarną.

Twierdzenie „stowarzyszeń i instytucyj", że myśliwi wybijają corocznie wielkie ilości ptactwa łownego, nie nadającego się do spożycia, tylko dla ćwiczenia się w strzelaniu, lub dla rozładowania broni(?) nie jest zgodne ze stanem faktycznym. Nie można wprawdzie zaprzeczyć, że trafiają się strzelacze, dopuszczający się takich pseudo sportowych czynów, są oni jednak bardzo nieliczni i proponenci mogą spokojnie pozostawić karcenie i wykorzenianie takiego nieetycznego postępowania myśliwym prawdziwym, pismom i organizacjom łowieckim, a nie czynić takich sporadycznych wypadków argumentem dla zakazu strzelania czegokolwiek poza tem, co się da z j e ś ć.

Zastrzedz się jednak należy, że nieetycznem jest tylko strzelanie bez żadnego celu i traktowanie istot żywych, a przez strzał życie tracących, narówni z glinianemi rzutkami, o które, po ich spadnięciu na ziemię, nikt więcej się nie troszczy. Dlatego już żądanie proponentów niestrzelania ptactwa dla tworzenia prywatnych zbiorów idzie za daleko. Zbiory takie są taksamo uprawnionem amatorstwem, jak są niem zbiory motyli lub chrząszczów, przeciw czemu nikt nie występuje, a nie należy zapominać, że takie zbiory kończą najczęściej swój samoistny byt przez wcielenie do muzeów publicznych, które wtedy wzbogacają się naraz o kilkadziesiąt lub kilkaset często bardzo cennych egzemplarzy. Ze zbiorów takich powstają też czasem gabinety zoologiczne przy szkołach średnich.

Rozważywszy to wszystko co wyżej powiedziałem, stwierdzam, że, jeżeli proponentom chodziło o to, by pewne gatunki ptactwa ulegały zupełnej ochronie,

to ich podejście do sprawy było błędne. Powinni byli potraktować ją naodwrót, a mianowicie ustalić pozytywną listę ptaków, dla których chcieli ochrony. Taka lista mogłaby stanowić podstawę do dyskusji, może do targów i ustępstw obustronnych, ale mogłaby dać jakieś konkretne rezultaty. W ten sposób przed 63 laty załatwił tę samą sprawę ówczesny Sejm galicyjski, który w § 2. ustawy z 21 grudnia 1874 r. postanowił, że „zakazuje się chwytania i zabijania niemniej przedawania ptaków wymienionych w dodatku", a w dodatku do ustawy wymienił 54 gatunki różnych ptaków bezwzględnie chronionych. Czy ta ustawa i ustalony przez nią spis ptaków chronionych nie obowiązuje przynajmniej częściowo do dzisiaj w byłym zaborze austrjackim, wymagałoby długich wywodów, nie będących w związku z przedmiotem niniejszego artykułu.

Przejdę teraz do innych żądań przez „stowarzyszenia i instytucje" postawionych.

Z żądaniem, aby karty łowieckie były wydawane tylko osobom, które się wykażą dostateczną znajomością prawa łowieckiego i pewnemi wiadomościami o życiu i zewnętrznym wyglądzie zwierząt łownych, można w zupełności się zgodzić, bo wszak i statut Polskiego Związku Łowieckiego przewiduje egzaminy dla kandydatów na członków Związku.

Słusznem też jest życzenie proponentów, aby dla chwytania ptaków wymienionych w art. 50 prawa łowieckiego używano narzędzi, które bądź ptaka chwytają w stanie nieuszkodzonym, bądź zabijają natychmiast. Zauważyć jednak należy, że spełnienie tego ostatniego żądania nie zawsze jest zawisłe od woli człowieka, bo wynik zależy od tego, jak ptak założoną przynętę zaatakuje. W każdym razie sądzę, że używanie żelaz o ostrych brzegach nie jest potrzebne, nawet wobec silnych ptaków drapieżnych, byleby sprężyna była dość mocną.

Żądanie, aby ptaków łownych (kuropatw i kwiczołów) nie chwytano w sidła, byłoby też zupełnie słuszne, gdyby skierowane było pod właściwym adresem, a więc do wnykarzy, bo myśliwi takiemi środkami się nie posługują, a to choćby z tej prostej przyczyny, że stworzone, nie bez ich wpływu, prawo łowieckie zabrania takiego łowienia. Nie zachodzi też obawa, aby jakaś przyszła polska ustawa łowiecka tak polować zezwalała.

Zupełnie natomiast niesłuszne jest żądanie, aby ustawowo zakazano wypłacania i przyjmowania premji za odstrzał ptaków drapieżnych. Jeżeli bowiem jakieś ptaki uznaje się za szkodliwe dla hodowli zwierzyny użytkowej, to musi się myśliwemu hodowcy pozostawić możność zredukowania ich ilości do stanu, w jakim nie będą dla zwierzostanu zbyt szkodliwe, temu zaś hodowca nie zawsze może osobiście podołać i musi żądać pomocy straży łowieckiej, która znowu bez premji czyli t. zw. strzałowego nie będzie pracować.

Możnaby conajwyżej życzyć sobie, aby myśliwi nie polecali swej straży strzelać wszystkich gatunków ptaków drapieżnych (oczywiście w miesiącach kiedy je strzelać wolno), a jedynie mniej szlachetne i pospolite, bo szlachetne sokoły i orły, występujące u nas rzadko, niewiele szkody mogą zrobić w zwierzynie użytkowej.

Myśliwi zresztą mogliby w tym względzie pójść i na dalsze jeszcze ustępstwa, ale pod warunkiem opanowania przez władze administracyjne i sądy szerzącego się u nas w zastraszający sposób kłusownictwa i wnykarstwa, i gdyby nasza ludność wiejska była mniej wrogo nastawiona w stosunku do wszelkiego rodzaju dzikich zwierząt i ptaków.



„Kaban" poszedł na nagankę, panie naczalnik!...
Fot. W. Makowski

Na podstawie obserwacji nietylko myśliwych, lecz także ornitologów, tudzież osób filmujących zwierzęta i ptaki, stwierdzono, że prawie $^{2}/_{3}$ lęgu przepada wskutek barbarzyńskiego niszczenia gniazd przez ludność wiejską, a szczególnie przez młodzież pasącą bydło. Psotliwe ręce i obute lub nieobute nogi chłopaków wiejskich nieskończenie więcej przyczyniają się do wyniszczenia ptactwa, niż to czynią nieliczni na szczęście strzelacze, na których niemyśliwskie wyczyny proponenci tak się skarżą.

Sprawa ta zresztą nową jest tylka pod względem stwierdzenia rozmiarów klęsk barbarzyńsko lub lekkomyślnie w ten sposób szerzonych, skoro we wspomnianej już ustawie Sejmu galicyjskiego z r. 1874 znajdujemy następujące postanowienie:

„Nauczyciele szkół ludowych są obowiązani uczniom tak zwyczajnych jak niedzielnych szkół wyjaśnić szkodliwość wybierania gniazd, chwytania i zabijania ptactwa użytecznego, tudzież przedstawić im corocznie, a mianowicie przed początkiem lęgu ptasząt, postanowienia niniejszej ustawy".

Możeby zatem było lepiej, aby „stowarzyszenia i instytucje" swe apele o chronę ptactwa zechciały zwrócić pod innym, właściwym adresem?

ALFRED SANDER

AFRYKA

(Ciąg dalszy).

W nocy minęliśmy następną stację, historyczne Tsawo, w okolicy którego toczył swą wojnę z lwami-ludożercami Patterson.

Nie przestrzeżeni przez przewodnika i quasi opiekuna naszego, agenta w Mombasie, że noce w podróży przez płaskowzgórza bywają bardzo zimne, nie wydobyliśmy z tłomoków ani odpowiedniego odzienia, ani ciepłych koców. Tymczasem rozkoszny, wieczorny chłód, który witaliśmy z radością po zachodzie słońca, zamienił się w ciągu paru godzin w przejmujące zimno, tem dotkliwsze, że następowało bezpośrednio po piekielnym upale, jaki trapił nas za dnia.

Po północy obudziłem się skostniały i mimo zmęczenia usnąć już nie mogłem. Ubrany w cienką, letnią flanelę, literalnie szczękając zębami, przeklinałem w duszy agenta i jak zbawienia wyczekiwałem słońca i ciepła. Czas dłużył mi się nieludzko, bo nadomiar złego noc była bezksiężycowa, ciemna i patrzyć nie było na co.



Z albumu Autora

Przy słabem, niepewnem świetle gwiazd rozpoznawałem ledwie falistą równinę, co bliższe, rzadkie drzewa i światła na posterunkach dróżników. Zresztą nic, co wskazywałoby na obecność człowieka w pobliżu; żadnych świateł ani budynków. Nic, tylko zasiane miljonami gwiazd niebo, a na ziemi ciemny, zarośnięty step.

Samotność, ciemność i otoczenie działały na wyobraźnię: w myśli widzę pędzący, osypany iskrami pociąg i nocne sceny, jakie rozgrywają się na stepie.

Noc, ciemno, migocą gwiazdy, szeleszcząc suchą trawą, przeciągnie wiatr nad ziemią. — Na otwartym stepie, bezpiecznie, zdala od jarów i od zarośli, w których mógłby czaić się drapieżca, stanęły na noc antylopy. Stoją gromadą, bo bezpieczeństwo większe, gdzie więcej uszów słucha, a nosów — wietrzy. Nozdrzami pod wiatr, cała w zmysłach, stróżuje przy stadzie czujna, stara łania. Tyle już widziała, z tylu niebezpieczeństw wyszła cało, tak zna wszystkie szmery i wszystkie wonie stepu! A czego nie zawietrzy, dopowiedzą jej nastawione trwożliwie łyżki i bystre oczy. Zresztą step dokoła równy jest i gładki, jak stół; ledwie sterczy na nim tu i owdzie suchy krzak albo kępa pożółkłej trawy.

Cisza — do wschodu daleko jeszcze. — Stado przeżuło już wieczorną paszę i śpi. Jak kłody, czernią się na stepie długie, brunatne ciała. Nie śpi tylko i czuwa nasłuchując łania na czatach; od czasu do czasu ruszy niespokojnie, zarzuci głową, zawietrzy i — słucha dalej.

Podniosła długą szyję, pociągnęła wiatru nozdrzami, nastawiła uszy — nieznana woń jakaś czy szelest podejrzany pojawiły się w przestrzeni. — I znowu minęła chwila — nie zawiodły jej czułe zmysły — coś grzmiało w oddali i huczało coraz bliżej, coraz donośniej. Ciała śpiące na stepie ożyły, podniosły się głowy; antylopy wstały i nasłuchiwały w stronę, od której szedł łoskot.

Grzmiąc coraz głośniej, z ciemności nadchodził pociąg; jak dwoje płomiennych oczu, świeciły nad haszczami jego latarnie. Teraz zwierzęta wstały wszystkie i patrzyły. Nie uciekały, bo potwora tego znały dobrze. — Czarny za dnia, świecił w ciemności, pojawiał się co drugą noc o tej samej porze, grzmiał aż trzęsła się ziemia, patrzył ognistemi ślepiami i sypiąc iskrami odchodził, jak przyszedł, nie skrzywdziwszy nikogo. Pozostawał po nim zapach ognia i dymu, ale woń tę antylopy znały, zalatywała je wszak, ilekroć palił się step. Byle nie wchodzić mu w drogę, potwór o świecących oczach groźnym nie bywał.

Zaczepiać go jednak nie należało. — Ufny w swą broń i w swoją siłę, głupi, tępy nosorożec, obudzony raz nagle ze snu, porwał się do ataku. Mimo potężnego uderzenia rogiem, potwór nie zatrzymał się nawet, poranił głupiego gruboskórca, odrzucił go i z łoskotem poleciał dalej.

Przez kępę, co stała w pobliżu, między źdźbłami skłębionej trawy, zielone jak szmaragdy, błysnęły dwa światełka i zgasły. — Wiatr przeszedł nad stepem, zaszumiała trawa, zakołysały się haszcze i znów była cisza. — W oddali huczał pociąg coraz ciszej; w przestrzeni zgasła już łuna jaką rzuca. — Powoli spokój wracał, tylko nieznacznie falowała trawa na wietrze i kołysząc się rzucała na ziemię cień. Szybko, jak myśl, błysnęły raz jeszcze zielone ogniki. — Ale to złudzenie było tylko. — Pociąg dawno przeszedł, księżyca niema na niebie — skąd iskry, skąd cienie? Trawa stoi prosto, jak stała, nawet wiatr nie kołysze nią teraz; zwichrzone, skłębione kępy stoją nieruchomo, dokoła cicho, jak makiem zasiał. Już ledwie słychać dudnienie pociągu.

Bezpieczne, spokojne już antylopy stały jeszcze chwilę, jak gdyby oczekując co postanowi łania, prowadząca stado. — Na ranny żer zawcześnie, spać trzeba jeszcze. — Klękając, zwierzęta kładły się znowu i nieruchomo zaległy na stepie czarne ich ciała.

Z ciemności, jak piorun z chmury, wielkie płowe c o ś spadło na ziemię! — Krótka, jak mgnienie oka, chwila szamotania, urwany ryk, chrapanie, trzask łamanych kręgów, jeszcze ryk i coraz cichsze rzężenie konania. — W kłębach pyłu, tętniąc, stado, jak wicher, poniosło się w haszcze, a na stepie, gdzie przed chwilą stały antylopy, dwa lwy rozpoczynały ucztę i warcząc, chłeptały gorącą krew.

Wyobraźnia jednak i obrazy, które podsuwała, ciepła nie dodawały mi niestety, a nad ranem chłód wzmógł się jeszcze; jak w naszą zimną, jesienną noc, zapociły się okna.

Dygocąc od zimna, skulony, jak pies na deszczu, pocieszałem się, że mimo wszystko to Afryka i jutro będzie mi ciepło, za ciepło nawet. Do rana zresztą musiało być niedaleko, bo, wnosząc z rozkładu jazdy, za godzinę niespełna podawać obiecywali śniadanie. Tymczasem jednak, o parę kilometrów od równika marzłem w całem słowa tego znaczeniu i szczękałem zębami. Zbrojąc się w cierpliwość, z rezygnacją czekałem słońca i — gorącej herbaty. — Afryka! Kraj przeciwieństw i ostateczności!

Przed szóstą, między stacjami Simba i Sultan Hamid, nazwanemi tak na cześć dawnych, dziś pozornych już tylko władców tej ziemi: lwów i sułtana Zanzibaru, do okien wagonu zajrzał świt. — Mrok poszarzał, za oknem, z cienia, wyłaniać się poczynał świat. Przetarłem szybę i zobaczyłem ze zdziwieniem, że nad ziemią unosi się mgła, jak w nasze jesienne ranki, kiedy dzień ma przyjść gorący i słoneczny.

Przesłaniając dalsze szczegóły krajobrazu, opary czerwieniały od jutrzenki i przy jej świetle poznać już można było, że od wczoraj kraj zmienił się do niepoznania. Znikła bujna, wspaniała roślinność, którą podziwialiśmy na wybrzeżu; ani śladu baobabów, palm i aloesów.

Pociąg pędził teraz przez równinę usianą pagórkami, podobnemi do wielkich kretowisk, pokrytą, jak dywanem, krótką, suchą trawą, z której tu i owdzie wyrastały nagie akacje. Ustąpiły nawet haszcze i zarośla; za mgłą widać było tylko pożółkły step. Reszta żywej jeszcze, zielonej roślinności kryła się u stóp wzgórz i w wąwozach, gdzie mniej paliło słońce. Coraz, ginąc we mgle, migotały przed pociągiem ciemne postacie pomykających zwierząt.

Półświatło trwało krótko, minuty ledwie; mgła nasycała się światłem i znikała w oczach. Od słońca błyszczały już wyższe szczyty pagórków i coraz dalsze drzewa rysowały się w oparze.

Śladów pobytu człowieka żadnych: ani uprawnej ziemi, ani siedzib ludzkich, ani znaków pożaru nawet, ludzką wznieconego ręką. Dokoła, jak sięgnąć wzrokiem, step bez końca; porosły żółtą trawą i rzadkiemi drzewami, suchy, pagórkowaty step.

Kończyłem się ubierać, kiedy pociąg stanął na stacji Kiu. „20 minut. Breakfest: herbata, kawa, szynka, jaja na miękko" i klasyczny Hindus za bufetem. — Po śniadaniu kto żyw wyległ na peron ogrzać się w słońcu i popatrzyć na pierwszą stację w szczerem pustkowiu.

Okolica widocznie była bezludna, bo na stacji, prócz służby kolejowej, nie widzieliśmy krajowców. Tuż za plantem za to, o dwieście kroków ledwie od peronu, ani dbając o ludzi, o gwiżdżący parowóz, najspokojniej w świecie żerowało na stepie stadko gazeli. Jak objąć okiem, już oświetlony słońcem kraj leżał dokoła dziki zupełnie. — Byliśmy w prawdziwej Afryce.

Wysiadali tu znów myśliwi, jadący z nami z Mombasy. Wnosząc ze szczupłego bagażu, polować zamierzali również niedługo, w najbliższej okolicy tylko. — Patrzyliśmy ciekawie na rozdzielanie ładunku między tragarzy i długo jeszcze, kiedy pociąg nasz ruszył ze stacji, widzieliśmy małą ich karawanę, ciągnącą sznurem przez step. Podobna chwila i podobna scena oczekiwała nas dziś jeszcze w Kijabe. Byliśmy jak na najciekawszem przedstawieniu, widzami zarazem i aktorami. Wrażenia i obrazy następować miały po sobie z szybkością odwijającej się przed ekranem taśmy bioskopu.

Budując kolej do Ugandy, Anglicy sięgnęli żywego serca Czarnego Lądu i dzieła dokonali wiekopomnego, jedynego w historji kolonizacji Afryki. — Tysiąc kilometrów zgórą drogi żelaznej przez kraje pierwotne, po części górzyste, alpejskie, a po części tak suche, że wodę przywożono w cysternach, dla anglosaskiej energji nawet przedsięwzięcie było nielada.



Spacer podczas postoju na jednej ze stacyj trasy.

Obok niezmiernych trudności technicznych, zależnych od terenu, budujący kolej inżynierowie napotykali nowe, nieznane im przeszkody, stawiane przez klimat, przez atmosferę, przez bitnych, usposobionych wrogo do wszelkiej „kazi uleia" (robota z Europy) tubylców, a nawet przez zamieszkujący te strony niezliczony świat zwierzęcy.

Lwy i nosorożce siały postrach wśród robotników, żyrafy i słonie przewracały słupy i przerywały druty telegraficzne, a drobne wszystkożerne termity niszczyły wszystko, co nie było metalem, tak zawzięcie, że wkońcu podkłady pod szyny kładzione być musiały tylko żelazne. — W wielkiej tej walce z siłami przyrody zwycięstwo odniósł wkońcu człowiek.

W 1902 r. położono ostatnią parę szyn, łączących wybrzeża Oceanu Indyjskiego z Jeziorami Afryki Środkowej i pierwszy pociąg przebiegł przestrzenie, na których, błąkając się wśród nieprzeliczonych stad dzikiego zwierza i koczowniczych, drapieżnych plemion miejscowych, biały rzadkim gościem bywał i życie swe narażał codziennie.

Tajemnicze, śpiące od dnia stworzenia świata, brzegi Victoria-Nyanza zbudzone zostały świstem lokomotywy; Sfinksa, strzegącego tajemnic Czarnego Lądu, odepchnięto znowu, dalej jeszcze. Drogę, na przebycie której potrzeba było kilku miesięcy uciążliwej, wielce niebezpiecznej podróży, przebiega dziś turysta w dwie doby.

Podróż do Wielkich Jezior otworzyła przed białym świat pierwotny, nowy i tak odmienny od świata, w którym żył dotąd, tak dziki i tak piękny, że potem

wspominana w szarem życiu codziennem droga ta wydaje się jednym prześnionym snem. — U progów świata tego stanęliśmy lądując w Mombasie, do jego zaczarowanych krajów doprowadzić nas miała usypana laterytem, krwisto-czerwona linja kolei.

Mgła znikła i słońce świeciło już całym blaskiem, kiedy wyjechaliśmy z Kiu. Dla myśliwego rozpoczynała się teraz najciekawsza część drogi, na której oglądać mieliśmy obrazy jedyne w świecie, po stokroć przewyższające wszystko, co wyobrazić sobie można, co opisywali podróżnicy.

Od stacji Simba do Nairobi kolej przecina gdzieniegdzie tylko, w parowach i nad brzegami rzek, porosłe rzadkiemi haszczami rozległe równiny, znane myśliwym afrykańskim dobrze, stepowe płaskowzgórza: Athi, Matschako i Kapiti. — Na świat cały, okolice te słyną z obfitości zwierza. — Aby uwierzyć opisom życia zwierzęcego, jakie w niesłychanem bogactwie podziwia tam podróżny wprost z okien wagonu, trzeba okolicę i życie to widzieć, patrząc na nie własnemi oczami. Inaczej opis rzeczywistości wydać się musi czytelnikowi przesadą niegodną wiary.



Fragment dżungli.

Jak wielki park pełen zwierza, ciągną się po obu stronach kolei angielskie „*game reserves*", strzeżone pilnie, ogromne przestrzenie kraju, na których polowanie wzbronione jest raz na zawsze. Na południe rewiry zamknięte dla myśliwych ciągną się na przestrzeni paruset kilometrów, aż do granicy posiadłości niemieckich, na północ pasem na 15 kilometrów szerokim, „game reserves" biegną wzdłuż drogi żelaznej. Polować więc w najbliższem sąsiedztwie linji kolei ani przekraczać jej myśliwemu nie wolno, co ułatwia niezmiernie kontrolę granicy rewirów chronionych.

W tem naturalnem, prowincje całe obejmującem sanktuarjum, w skład którego wchodzą lasy dziewicze, góry, bagna i stepy, nietykana prawie, fauna wszelkiego rodzaju przechowuje się w pierwotnem bogactwie, w stadach liczących nie dziesiątki, nie setki, lecz tysiące głów.

Jak w raju w pierwszych dniach stworzenia, wśród istot, które zwierzyniec ten zamieszkują, panuje niezakłócony spokój i zgoda. Harmonji bytu nie psują tam nawet drapieżce, które daninę życia biorą taką tylko, jaką dla utrzymania równowagi brać nakazuje im przyroda. — Nie ścigane, nie prześladowane przez człowieka, najostrożniejsze rodzaje zwierza dziwnie tam są mało trwożliwe. W okolicach, przez które prowadzi kolej, zwierzęta oswoiły się z nią do tego stopnia, że nie uciekają i nie przestają żerować, kiedy zobaczą pociąg.

Za stacją Kiu, tuż za ostatniemi zabudowaniami, spotkaliśmy dziewięć kongoni*) wielkich, do rudych krów podobnych antylop. Na widok pociągu zwierzęta podniosły głowy, nie ruszając z miejsca popatrzyły chwilę i najspokojniej w świecie pasły się dalej. Stały tak blisko, że gołem okiem dojrzeć można było wiechcie trawy, które trzymały w pyskach.

Jeszcze widać było rude kongoni, kiedy na stepie, bliżej jeszcze toru, ukazało się stadko, znaczonych czarno po bokach, zgrabnych gazeli Thomson'a, między któremi, jak pojedyńcza sztuka bydła między owcami, żerował brodaty, pręgowany czarno i siwo byk gnu.

Przykłady podobne współżycia istot do różnych należących rodzajów, spotykane w Afryce codziennie, nie są bynajmniej dziełem przypadku. Powodowane instynktem czy doświadczeniem, może nabywanem przez długie szeregi pokoleń, zwierzęta łączą się dla wspólnej obrony od zagrażających im niebezpieczeństw.

Żyjąc w gromadach i dobierając się odpowiednio, różne rodzaje mają na celu pomoc wzajemną i zwiększenie ostrożności, zależnej od subtelności zmysłów, które nie u wszystkich gatunków rozwinięte są jednakowo. Dla większej czujności, zwierzęta obdarzone dobrym węchem dobierają sobie towarzyszów o bystrym wzroku; stworzenia małe, na krótkich nogach trzymają się chętnie w pobliżu zwierząt wysokich, mogących ogarniać szerokie pola widzenia i t. p. Symbioza ta więc, jak nazywają uczeni współżycie w przyrodzie, nie jest niczem innem, jak „Towarzystwem wzajemnych ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków".

W miarę jak pociąg zagłębia się w stepy, przeróżnej zwierzyny, stojącej stadami i pojedyńczo, widzimy dokoła coraz więcej. Przeważają czerwone, niezgrabne kongoni i żerujące, jak źrebaki, lub harcujące szwadronami, pręgowane barwnie zebry. Te ostatnie, mimo zarysowanych jaskrawo czarnych i białych pasów, wydają się to czarne zupełnie, to jasne, prawie białe, zależnie od kąta, pod jakim oświetla je słońce. Szczególnie okazale przedstawia się żerujące stado potężnych, do bardzo rosłego bydła podobnych elandów, czerwonych jak kongoni, lecz poznaczonych pionowo białemi linjami. Rogi mają krótkie, masywne, poskręcane w świdry. Stare buhaje poznać można zdaleka po niebieskawo-szarej maści bez białych znaków i po ogromnem wolu, zwieszającem się u gardzieli, jak fartuch.

Stadkami również trzymają się brodate, srogie z wyglądu wildebeest'y, gnu, z ciemnej barwy i z rogów podobne do bawołów na małą skalę. Wrażenie to zresztą zaciera się, kiedy zwierzęta ruszą się i wyprawiać zaczną właściwe im śmieszne podskoki, nie

*) Wobec niezupełnie ustalonej i mało znanej terminologji polskiej, mówiąc o zwierzu Czarnego Lądu, posługiwać się będę nazwami używanemi przez krajowców lub przez myśliwych Anglików.

licujące z ponurą, groźną powagą i ciężkiemi ruchami bawołów.

Prawdziwą ozdobą stepów Czarnego Lądu są spotykane często stada dwóch odmian gazeli: pokaźnej, ubranej w rogi kształtu liry gazeli Grant'a i podobnej zupełnie, lecz znacznie mniejszej niż pierwsza, gazeli Thomson'a, nazywanej zdrobniale „Tommy". Wiecznie machająca krótkim swym ogonkiem, „Tommy" zwłaszcza rozkosznem jest stworzeniem. Osobno lub w towarzystwie innych zwierząt, gazele snują się po stepie wszędzie, jak u nas owce lub kozy na pastwiskach.

Cztery strusie, szare trzy kury i czarno-biały, przepyszny kogut, stały od pociągu tak blisko, że, mówiąc po myśliwsku, strzelać do nich można było śrutem. Bez szkieł widziałem dokładnie czerwonawe nogi, długie, gołe szyje, a nawet dzioby i oczy ogromnych ptaków. Kiedy pociąg zrównał się z niemi, pochyliły szyje, jak koń w galopie, i machając skrzydłami, krokami po trzy metry, zaczęły uciekać. Dalej jeszcze pojedyńczy kogut, stojąc wśród stadka Thomson'ów, nie spuszczał oczów z idącego pociągu, a ufne w czujność takiego opiekuna gazele żerowały i nie podnosiły głów od ziemi.

Chwilami widzieliśmy równocześnie kilka rodzajów zwierząt tak pomieszanych, że trudno było powiedzieć do którego należą stada.

Później, kiedy po skończonej wyprawie powracałem na wybrzeże i polowałem dzień jeden w okolicach Nairobi, widziałem raz jeszcze podobne, a nawet większe ilości zwierza. Stada pomieszane tam były do tego stopnia i stały tak gęsto, że, nie poruszając głową, przed oczami miałem naraz aż dziewięć rozmaitych odmian zwierzyny.

W dzienniku swym zapisałem wówczas dosłownie: „Za Nairobi, nie dalej niż dziesięć kilometrów od miasta, Athi Plains literalnie p o k r y t e były stadami wszelkiego rodzaju dziczy. Równocześnie miałem w polu widzenia lornety: elandy, gnu, kongoni, zebry, gazele w dwóch odmianach, dziki, strusie i dropia".

Patrząc na żerujące spokojnie stada, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że mam przed oczami nie zwierzęta dzikie, a domowe: konie, owce i bydło. I mimowoli szukałem, gdzie znajduje się pastuch i pies, strzegący szczególnego tego dobytku. Rola wyobraźni była tem łatwiejsza i złudzenie tem głębsze, pełniejsze, że nie brakło i trzody dzików, ryjących step, jak zwykła trzoda.

W przejrzystem, rannem powietrzu obserwować mogłem przez lornetę nietylko postać, lecz ruchy i najdrobniejpsze szczegóły zachowania się zwierza.

Stada stojące dalej od toru nie zwracały prawie uwagi na mijający je pociąg; ledwie popatrzyły w naszą stronę placówki i sztuki dowodzące stadem. Zwierzyna, która stała blisko, odbiegała kilkadziesiąt kroków, zatrzymywała się i żerowała dalej.

Daleko w stepie, już na widnokręgu, dokąd nie sięgała moc lornety, widoczne na tle nieba, jak czarne kropki, podlatując i zapadając znowu w to samo miejsce, gromadziły się sępy. Czekały, być może, aż nakarmi się jakiś drapieżnik, albo biły się przy pozostawionej przez niego padlinie. Prócz sępów i kołujących wysoko jastrzębi, widzieliśmy strusie, dropie i dziką pentarkę, która zerwała się w gąszczach nad rzeką.

Nie odejmując szkieł od oczu, ledwie dzieląc się odnoszonemi wrażeniami, w upojeniu wpatrywaliśmy się w zdumiewającą panoramę, wzdłuż której niósł nas pociąg.

Zachwyt nasz dosięgnął szczytu, kiedy ukazało się na stepie stado żyraf. Stały do nas przodem nieruchomo i tak były rażąco podobne do suchych pni, ogołoconych z gałęzi, że rozpoznaliśmy je wówczas dopiero, kiedy poczęły uciekać. Jedna z nich, matka ze źrebięciem, więcej okazała zaufania niż reszta i choć blisko była toru, kroku nie ruszyła z miejsca.

Żyrafy! Dzikie żyrafy na swobodzie! — Opisy mówiły prawdę, byliśmy w istnym zwierzeńcu, w prawdziwym raju z przed grzechu. Podróż warta była zachodu. Nieprawdopodobne, zdumiewające przesuwały się przed nami obrazy przyrody w całem pierwotnem bogactwie jej życia, nietykanego prawie, nie burzonego jeszcze przez człowieka. Sam widok przyrody tej wart jest podróży i nie potrzeba być myśliwym, ażeby wielbić ją i podziwiać.



Z albumu Autora

W początkach istnienia kolei, kiedy do rewirów sąsiednich nie zaglądali jeszcze tak często myśliwi, zwierzyny podobno było w stepach więcej jeszcze. Niejednokrotnie z okien wagonu widzieć można było ucztujące lwy, lub nosorożca stojącego w pobliżu. Ba, kiedy ruch pasażerski nieustalony był jeszcze, uprzejmy maszynista zatrzymywał pociąg na widok grubego zwierza, przygodni myśliwi wysiadali, strzelali i z łupem ruszali dalej.

(D. c. n.)

STANISŁAW ZABOROWSKI

WYPRAWA NA „WOŁCZYJ OSTROW".

W jedną z tych cichych nocy, kiedy pierwszy wiew wiosny zaczyna ze snu zimowego budzić przyrodę, przy blasku ogniska słyszałem taką gawędę.

*

Było to wiosną 1920 roku. Pułk nasz, stojący od dwóch tygodni wśród głuchych, piasczystych i bagiennych pustkowi Polesia Wołyńskiego, odpoczywał.

Ruchliwe dotychczasowe życie i ciągła, stała zmiana sytuacji życiowych nie pozwoliła nam młodym usiedzieć na miejscu spokojnie. Coś wołało, coś pędziło z brudnej chaty poleskiej, coś gnało w przestrzeń, a tętniąca w żyłach młodość tembardziej nie pozwalała usiedzieć na miejscu bezczynnie.

Po dwóch dniach odespaliśmy już trudy przebytych marszów, zapomnieliśmy o przebytych przygodach i to coś, ta ukryta w nas w stanie potencjonalnym energja życiowa szukała możności wyładowania, szukała ujścia.



Zimą czy latem — zawsze w kożuchu. Fot. R. Eisenbraun

I w różny sposób ten, jak go „dziady" nazywały, animusz wyładowywaliśmy z siebie.

Staszek B. pisał bez przerwy poezje, gdzie „blizny i Ojczyzny", „ognia krater i bohater" rymowały się gładko i prawie wyłącznie.

Józek A. zwiedzał wszystkie „świronki" i znosił nam informacje w rodzaju:

— Widzieliście tę Nastę? A to ci Horpyna! Ha!...

Była i partja brydżystów, która i pokerem nie gardziła, dopóki atrament Staszka - poety nie zalał trzech asów, które, jako już znaczne, nie mogły uczestniczyć w „poważnej grze".

Ale było również nas dwóch, ludzi lasu, Mietek T. i ja.

Tak zaczął swą gawędę p. B., siedząc ze mną po wieczornych zapadach przy ognisku, do którego Tation dokładał zebranego suszu.

Otóż na nas — ciągnął dalej, — ten piękny czas budzącej się wiosny podziałał jeszcze inaczej; nas zaczął przyzywać las, ciągnąć knieja, wołać puszcza.

Już po kilku dniach postoju w Jacewiczach, gdyż tak się wieś ta nazywała, nawiązaliśmy kontakt z Wasylem, byłym gajowym otaczających wieś lasów państwowych, i z nim prowadziliśmy długie narady na temat możliwości polowania.

Wasyl już był bardzo stary! — A szczo, panoczku, na panszczynu szcze u Perekale chodył. Oj pomniu buwało, pomniu. A i toho staroho pana Ordu pomniu. Oj staryj ja, panoczku, staryj.

Ale „hłuszci wże i hrajut" i stary Wasyl choć „szcze ne baczył siho hoda", ale „wże czuł", jak wieczorem na Wołczyj Ostrów zapadały i pierwsze akordy wiosennej pieśni rzucały na otaczającą ostrów puszczę.

A gdzie, a jak iść, a którędy, wypytywaliśmy starego, gdyż on sam oświadczył, że nas tam nie doprowadzi, bo nogi już nie dopiszą i sił na marsz po kładkach nie starczy.

Mieszka za błotem na gajówce stary Kazimierz, gajowy ten mógłby doprowadzić i pokazać, gdzie głuszce tokują, ale on leży ciężko chory i do raju mu bliżej podobno, niż do lasu. Utargowaliśmy po długich namowach tyle, że Wasyl, dowieziony wózkiem za wioskę, pokazał nam drogę i wskazał niezbyt odległy „Wołczyj" oraz „Hrebieunik", gdzie głuszce stale rokrocznie tokowały.

Więcej nam i nie trzeba było, młodość doda skrzydeł, „nos" zwiadowcy wskaże kierunek, a ucho napewno doprowadzi pod drzewo, gdzie „hraje staryj pieun".

Ponieważ czas był drogi, gdyż niewiadomo było, czy lada dzień nas z postoju nie ruszą wyższe rozkazy, postanowiliśmy nie zwlekać i zaraz dziś iść na zapady i na ranne toki.

Dzień był cudny, słoneczny, bez chmur. Lekki tylko wietrzyk suszył rozmokłe pola, a kwietniowe słońce miło przygrzewało, budząc do nowego życia martwą jeszcze przyrodę.

Zapady szykowały się bajecznie. Od południa już usiedzieć nie moglimy spokojnie i po raz nie wiem który czyściliśmy nasze z takim trudem wożone w taborze strzelby.

A broń to była ciekawa i oryginalnego pochodzenia. Moja berdanka, pojedynka 16-tka, przerobiona ongiś z wojskowego karabina i odebrana chłopu, wziętemu do niewoli z paczką bolszewickich obdartusów. Mietka tulska 12-tka bezkurkówka, również gdzieś zdobyta, czy też wyhandlowana za pistolet. Ciężka była, jak armata, i waliła, jak z armaty, aż w uszach głuszyło po każdym strzale Mietka. Nie była to „klasa" broń, ale była broń myśliwska, a to grunt.

Nie mogąc więc usiedzieć cierpliwie, zbieraliśmy się już do wymarszu na zapady, choć do wieczora było jeszcze bardzo daleko, kiedy goniec z dowództwa wezwał nas na odprawę.

Tragedja! Wściekła rozpacz nas ogarnęła.

Psia krew, na odpoczynku, właśnie wtedy, kiedy pierwszy raz chcemy mieć przyjemność, właśnie wtedy spokoju nam nie dają.

Dość tego, nie pójdziemy, powiemy, że goniec nas nie znalazł. A może to wymarsz — co wtedy?

Gdyśmy wrócili z odprawy, na zapady było już zapóźno. Choć odprawa sama nas uspokoiła, gdyż o wymarszu narazie nie było mowy, ale polowanie dzisiejsze było stracone, gdyż, nie znając miejsca, zdecydowaliśmy nie chodzić po nocy po nieznanych drogach i wertepach.

Licho mnie jednak skusiło. Kiedy już po kolacji spać się zbieraliśmy z Mietkiem, zacząłem go namawiać, żeby jednak iść dzisiaj. Bóg wie co jutro będzie, może stąd wyjdziemy, może nas gdzie wyślą i cała taka okazja będzie stracona.

Mietek tłomaczył, jak mógł, perswadował, że to przecież nonsens po nocy, nie znając miejsca ani drogi, iść na niepewne i to w dodatku przez bagna, gdzie i utopić się łatwo, jak mówił stary Wasyl.

Dziad jednak swoje, a baba swoje. Jak uczepiłem się myśli, żeby iść dzisiaj, to uparłem się:

— Pójdę i pójdę.

— A idź sobie do pioruna — zdecydował wkońcu rozgniewany Mietek — ja się nigdzie nie wybieram.

— Nie pójdziesz ze mną?

— Nie, idź sobie sam, jeśli chcesz gdzie w błocie nocować. Ja mam jeszcze trochę oleju w głowie.

— Nie idziesz?

— Nie! Idź do djabła i daj mi spokój.

Choć początkowo nie byłem zupełnie zdecydowany, teraz w czasie sprzeczki, naprzekór „temu tchórzowi", postanowiłem bezwzględnie iść. I poszedłem.

Kiedy o 1-szej w nocy budził mnie czuwający ordynans, jeszcze raz zdrowy rozsądek chciał zatrzymać mnie w chacie, żyłka jednak poniosła i — poszedłem.

Ale już na wstępie zaczęło mi się nie składać, bo pamiętam, coś zacięło się w lampce elektrycznej i musiałem wrócić, żeby ją naprawić, bo choć baterja była nowa, nie chciała się palić. Naprawiłem jednak latarkę i, pogwizdując zlekka dla dodania sobie otuchy, poszedłem przez uśpioną wieś ku bagnu.

Na dworze było cicho, bezwietrznie, lecz ciemno. Chmury, które zwieczora nadciągnęły, zakryły niebo i czasem tylko w nieznacznych przerwach między chmurami wąski sierp księżyca rzucał mdłe światło na ziemię.

Jeszcze raz wątpliwości mnie ogarnęły... Może lepiej nie iść?...

Wstyd mi było jednak Mietka. Już teraz iść musiałem, choć wątpliwości nurtowały mnie coraz bardziej.

A droga była niełatwa i niebliska. Do bagna, skąd zaczynały się kładki, prowadzące na Wołczyj Ostrów, iść trzeba było ze trzy kilometry przez nieduże zarośla brzozowe, w których na bagnistym strumyku był zerwany mostek. Za mostkiem i krzakami przechodziło się przez spory ług, który już stanowił jakby wstęp do kładek, bo jakieś dwadzieścia kroków i tu kładkami tylko przejść można było. Za ługiem zaś i za polem, przez które prowadziła zimowa droga, zaczynało się porośnięte jedynie z brzega brzeźniakiem bagno, gdzie obok zimowej drogi rzucone były normalne kładki poleskie.

Sam „Wołczyj" była to spora kępa wysokopiennego lasu, która wyciągniętym językiem wrzynała się głęboko w bagnistą łąkę, tworząc jakby półwysep. Miejsce to oddalone jednak było od brzegu bagna półtora do dwóch kilometrów i całą tę przestrzeń trzeba było według słów Wasyla iść po kładkach.

Była gdzieś podobno droga inna, suchsza, przez gajówkę, w której mieszkał ów chory gajowy Kazimierz, ale do niego trzeba było końmi objeżdżać z dziesięć kilometrów.

Wioska spała spokojnie.



Senjor wśród naganiaczy. Fot. J. Hołyński

Gdzieniegdzie tylko w okienku tliło się światło małej lampki naftowej, przy której czuwał dyżurny ułan. Czasem pies zaszczekał, lub koń ułański zaparskał w stodole.

Przy końcu wsi spotkałem tylko nasz patrol, który zatrzymał mnie, nie poznając pociemku i w krótkim kożuszku ułańskim, który na tę wyprawę pożyczyłem od swego luzaka.

Minąłem jednak i patrol, i ostatnią dość daleko od wioski położoną „chatę za wsią", i zostałem sam.

W tym dopiero momencie uświadomiłem sobie całą bezsensowność takiej wyprawy. Sam jeden w nieznanej okolicy, wśród puszczy i błot, i w dodatku w okolicy bardzo pod względem politycznym niepewnej, gdzie każdy prawie spotkany chłop mógł mnie napaść, względnie z za krzaka ustrzelić. Tak, uświadomienie sobie tej sytuacji nie było przyjemne, stwierdziłem to i.... poszedłem dalej.

Nieprzyjemnie się jednak poczułem i szedłem ostrożnie, nasłuchując, czy czasem rzeczywiście ja-

kiś „had" nie czai się za krzakiem, żeby nagle wyskoczyć i wyrżnąć mnie czemś przez łeb.

Na wszelki wypadek odbezpieczyłem rewolwer i wziąłem go z kieszeni do ręki.

Zaciśnięcie dłoni na nabitej broni dodało mi otuchy, uspokoiłem się znacznie. Naprawdę niech napadają, choćby dwóch czy trzech, dopuszczę ich blisko i jak plunę w te podłe mordy z mauzera, to napewno nogami się ponakrywają.

Otucha nanowo wstąpiła mi w serce, nabrałem pewności siebie i aby okazać mą wzgardę tym „zaczajonym hadom" szedłem dalej pogwizdując zcicha.

Do zepsutego mostka na strumyku doszedłem dość dobrze i przy pomocy latarki elektrycznej przebrnąłem na drugą stronę, po zgaszeniu jednak światła tak ciemno mi się zrobiło, że dłuższą chwilę zatrzymać się musiałem, aby oczy oswoić z otaczającą mnie ciemnością.



Kładki w Puszczy Świsłockiej. Fot. M. Erhardtowa

Narazie przy mostku droga była dość znaczna, bo wyjeżdżona pomiędzy krzakami, to samo na niewielkim ługu, przez który musiałem przechodzić, pomimo ciemności widoczna była dokładnie, bo rysowała się ciemną wstęgą wśród zeschłej zeszłorocznej trawy.

Ponieważ kładki poleskie i spacery po nich nie były dla mnie nowością, aby ułatwić sobie dalszy marsz, przy końcu krzaków wyłamałem sporą brzózkę, jako podporę.

Przez małą kładkę na ługu przeszedłem dość łatwo, choć ściemniało się coraz bardziej i prawie zupełnie drogi nie widziałem.

Za to jak wyszedłem za ługiem na pole, moja droga zgubiła mi się zupełnie. Przy świetle latarki starałem się odcyfrować ślady, którędy zimą chłopi siano z błot zwozili, ale śladów tych było dużo i we wszystkich kierunkach. Gdzie była właściwa droga i którędy iść mi należało, Bóg jeden wiedział.

Ponieważ Wasyl, tłomacząc nam jak iść trzeba, mówił, jak pamiętałem, że przez pole środkiem, prosto, jak strzelił, wybrałem ślady środkowe i aby z nich nie zboczyć, szedłem już przy świetle latarki.

Tak doszedłem do brzegu bagna, gdzie wśród niskich krzaków zaczerniała mi wyraźnie wyjeżdżona przez bagno zimowa droga, gdy jednak obok drogi zacząłem szukać kładki, kładki nie było. Szukałem na prawo i w lewo od drogi, właziłem nawet, zapadając przytem prawie po kolana, na bagno, a kładki jak niema, tak niema.

Doszedłem do wniosku, że na inną drogę wyszedłem, należało więc znaleźć właściwą. Ale w którą stronę iść: w prawo, czy w lewo?

Zdecydowałem się wkońcu i, uszedłszy ze dwieście kroków w prawo, znalazłem rzeczywiście dobrze wyjeżdżoną przez bagno zimową drogę, a obok niej ułożone ze zwykłych okrąglaków, tak upragnione kładki.

Przy świetle latarki spojrzałem na zegarek, było 20 minut po 2-ej, do świtu jeszcze daleko. Liczyłem, że przez kładki do Wołczego iść będę ze trzy kwadranse, miałem więc dosyć czasu. Postanowiłem odpocząć, bo łażąc i szukając drogi zmachałem się i zgrzałem.

Usiadłszy na jakimś kopczyku i paląc papierosa, cieszyłem się już przyszłym sukcesem, który mnie czekał.

Widziałem już zdziwioną i skonfudowaną minę Mietka, kiedy zobaczy mnie wracającego rano i niosącego ogromnego trubadura kniei, ale co, nie jednego, dwa duże głuszce, a może jak się uda i trzy...

Phy! A cóż nadzwyczajnego, jak dobrze pójdzie, może i trzy uda mi się zabić. Przecież dwa już kiedyś zabiłem jednego ranka przed samą wojną. Dlaczego teraz nie mógłbym zabić trzech? A może i cztery! Wasyl mówił, że na Wołczym aż się trzęsie wszystko, tak tam tokują.

Marzenia te tak mnie zelektryzowały, że zerwałem się i ruszyłem ku kładkom.

Ciemność tymczasem zrobiła się tak zupełna, że na trzy kroki przed sobą nic nie widziałem. Na dobitkę mżyć zaczynało i jakby mgła ziemię zasnuwała.

Kładki zrobiły się wskutek wilgoci tak oślizgłe, że krok za krokiem tylko posuwać się po nich mogłem, gdyż co chwila noga mi się obsuwała i żeby nie kij, to kilka razy leżałbym już w błocie.

A z boków kładki błoto było paskudne, tak że miejscami kij nie znajdował oparcia, a ja tylko balansując utrzymywałem równowagę.

Posuwałem się bardzo wolno, zwłaszcza że kładki w wielu miejscach były połamane na cieńszych końcach leżących pni i dobranie się z jednego ogrąglaka na drugi kosztowało mnie niemało trudu i brodzenia powyżej cholew, nieraz w lepkiem błocie.

W kilku miejscach kładki były zupełnie rozrzucone i tam było najciężej, gdyż i sam marsz po błocie był trudny, a nadomiar tego ta piekielna ciemnica utrudniała mi znalezienie następnego okrąglaka, który stanowił właściwą drogę. Blask latarki, którą musiałem posługiwać się w takich wypadkach oślepiał mnie potem do tego stopnia że po jej zgaszeniu pewien czas stać musiałem, bo wogóle nic nie widziałem.

Ale przy jednem takiem wyłażeniu z błota na dalszy ciąg kładki zdarzyła mi się cała tragedja, bo gra-

moląc się na kładkę, pośliznąłem się i jak długi zwaliłem się w błoto.

Ledwo się z tej lepkiej mazi wygramoliłem, ale cały umazany i zupełnie przemoczony. Najgorsze, że padając zgubiłem gdzieś lampkę elektryczną, a siedząc nawpół w błocie i nawpół na kładce i macając dokoła siebie, w żaden sposób znaleźć jej nie mogłem.

Cały byłem formalnie oblepiony błotem, to też choć pociemku zgarniałem je z siebie. Strzelba cała była umazana i lufy zapchane.

Stan swój stwierdziłem dopiero później, jak się już rozwidniło, narazie zaś nie zdawałem sobie nawet sprawy, jaki obraz przedstawiałem.

Było mi tylko piekielnie zimno, bo cały przemokłem. To też po pobieżnem oskrobaniu się z większych kawałków błota ruszyłem dalej po kładkach, aby prędzej dojść do suchego miejsca.

Marsz jednak był coraz trudniejszy, kładki były coraz gorsze, przegniłe i co chwila łamały się pod nogami, a ja zapadałem powyżej kolan i wśród tej piekielnej ciemnicy z trudem tylko znaleźć mogłem sterczący koniec następnego okrąglaka.

Szedłem tak, a właściwie wlokłem się, już przeszło pół godziny i według moich obliczeń powinienem już być blisko Wołczego, kiedy nagle kładka skończyła się zupełnie i w żaden sposób nie mogłem znaleźć dalszego jej ciągu.

Stałem wtedy na jakiemś suchszem miejscu i myślałem początkowo, że to już Wołczyj, okazało się jednak, że był to tylko niewielki pagórek, na którym było stożysko.

Usiadłem na chwilę, aby odpocząć, bo choć początkowo zmarzłem na kość, teraz zgrzałem się i zmordowałem tak, że formalnie iść dalej nie mogłem.

Przy blasku papierosa spostrzegłem, że była już godzina trzecia, za chwilę powinno świtać. Wskutek mgły jednak i chmur, ciemności dokoła panowały nieprzeniknione.

Teraz dopiero, siedząc na tem stożysku, cały obłocony, zdałem sobie dokładnie sprawę z mej głupoty.

— Psia krew, że też mi do łba strzeliła myśl tej wyprawy. Mietek miał rację!

Ale wspomnienie Mietka i jego proroctwa, że będę nocował na bagnie, zdopingowało mnie nanowo i postanowiłem iść dalej, by za jakąkolwiek bądź cenę osiągnąć ten przeklęty Wołczyj Ostrów.

I w tej chwili właśnie, gdzieś z boku, z oddali doleciał mnie głos żórawi. Dzień się budził.

Ale łatwiej było zdecydować się na dalszy marsz, niż go wykonać. Najwięcej bałem się, żeby nie stracić kierunku, bo marsz po błocie nie był już tak ciężki, jak przy kładkach, gdyż razem z kładką przy stożysku skończyła się i zimowa droga, łąka więc nie była tu rozjeżdżona i nie zapadałem już tak często i tak głęboko, jak poprzednio.

Notabene zaczęły się już po drodze trafiać niewielkie brzózki, rosnące na suchych kępach.

W międzyczasie zaczęło się trochę rozjaśniać i dostrzegałem już niewyraźnie zarysy brzózek.

Na głuszca było już dość późno, już trzebaby być na miejscu.

Przyśpieszyłem kroku, bo liczyłem, że za chwilę dojdę wreszcie do celu.

W pewnym momencie usłyszałem nad sobą świst lecących kaczek, a po chwili gdzieś z boku czuszykanie cietrzewia.

Nastawiłem ucha, czy czasem z bliskiego według mych przypuszczeń Wołczego nie doleci mnie upragniony głos głuszca.

Kiedy natężyłem słuch, nagle w niewielkiej odległości przeraźliwie coś zawyło. Wilk?...

Wycie powtórzyło się i jakieś tęskne, ponure, ale dziwne zarazem, bo ton był dość wysoki. Chyba młody wilk — pomyślałem.

Wogóle wycie wilka zawsze robi na mnie nieprzyjemne wrażenie, ale teraz w tej mojej sytuacji zrobiło mi się całkiem nieprzyjamnie. Nie ze strachu, broń Boże, ale zawsze nieprzyjemnie.



Przy padlinie. Zdjęcie przy świetle błyskawicznem w nocy
Fot. A. Wiśniewski

Najgorsze jednak było to, że ten wilk wył właśnie od strony Wołczego, więc mógł mi tam głuszce popłoszyć *) i cała moja tak ciężka wyprawa na nic.

Zacząłem iść szybciej, ale teren stopniowo robił się coraz gorszy. Choć miejscami trafiały się już i większe drzewa i suchsze kępy, bagno było coraz więcej grząskie i coraz więcej zapadałem, aż wkońcu brnąłem cały czas po kolana w grząskiej mazi.

Siły zaczęły mnie wkońcu opuszczać. Usiadłem pod jakąś większą brzózką i czułem, że już dalej nie pójdę. Już nie mogłem, nie byłem w stanie.

Siedząc tak zrezygnowany i wściekły na siebie, zrozumiałem wkońcu, że zbłądziłem i nie trafiłem na ów Wołczyj. Zalazłem gdzieś w bagno i albo się

*) Głuszce wycia wilków się nie boją. Sam to obserwowałem w Komajskiej Puszczy na zapadach. (W. W. G.).

w tej piekielnej mgle utopię, albo mnie jeszcze wilki tu zeźrą.

Zaczęło mnie ogarniać uczucie strachu, wpadłem w ten podły nastrój, który stwarza samotność i bezradność w obliczu zbliżającego się niebezpieczeństwa.

Potęgowało ten nastrój jeszcze co chwila powtarzające się to przeciągłe, jękliwe i aż w głąb duszy wpadające wycie wilka.

W pewnej chwili o kilkadziesiąt kroków koło siebie usłyszałem po bagnie jakieś człapanie i chrząkanie.

— Co to? Dziki?

Rzeczywiście szły dziki. Żerowały widać w pobliżu, gdyż, choć we mgle ich dojrzeć nie mogłem, wyraźnie słyszałem ich głosy.

Zmaltretowany jednak byłem swoją sytuacją do tego stopnia, że zamiast się ucieszyć z nadarzającej się możliwości zabicia dzika, przestraszyłem się jeszcze bardziej, choć sam sobie nie zdawałem sprawy czego się boję.

Nie wiem czy zna pan ten stan, czy był pan kiedy w takiej sytuacji, kiedy rozedrgane nerwy nastrajają człowieka panicznie, a pobudzona przez nie wyobraźnia stwarza coraz to gorsze sytuacje, stawiając przed oczyma najrozmaitsze straszne obrazy?

Człowiek o zdrowych nerwach, względnie o nerwach wypoczętych, tego może nie doświadcza, ale niech pan się liczy z tem — ciągnął pan B., — że to było w 1920 roku, po kilku latach wojny, kiedy nerwy nasze były już na wyczerpaniu.

Otóż i ja wtedy właśnie wpadłem w taką depresję duchową i formalnie w paniczny nastrój. Chciałem iść dalej, ale bałem się, bałem się czegoś, z czego sobie nawet sprawy nie zdawałem. Bałem się poprostu, że ginę, że już stąd więcej nie wyjdę, że tu skończę swój żywot.

I właśnie w takim momencie, niewiadomo skąd, czy z góry, czy z boku — z tej nieprzeniknionej mgły doleciał mnie jakiś jakby jęk, jakby śpiew, czy zawodzenie, w którem ucho moje uchwyciło wyraźne słowa:

— Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie!

Przerwał mój rozmówca i zamyślił się, jakby po raz drugi przeżywając tamte momenty, a po chwili ciągnął dalej:

— Nie wiem, czy pan potrafi wczuć się w mój ówczesny stan psychiczny i czy pan potrafi zrozumieć co się ze mną stało.

Ale też proszę zrozumieć: w głębi puszczy, w nietyle może tragicznej, ile bądź co bądź nad wyraz nieprzyjemnej sytuacji, powtarzam, w głębi puszczy, gdzie niema żywej duszy poza dzikim zwierzem, właśnie wtedy, kiedy ja zmaltretowany biedolę nad swoim losem, nagle głos ludzki i to po polsku śpiewa nademną „wieczny odpoczynek".

Na tej samej kępie, na której wtedy siedziałem, zmarznięty na kość, zdrętwiały i psychicznie i fizycznie, przesiedziałem do czasu, aż wzeszło słońce i opadła mgła.

Ciepłe promienie słońca, które padły na ziemię, ocuciły mnie trochę i oprzytomniły. Ocknąłem się z tego jakby paraliżu, który mną owładnął, i zerwałem się na nogi... Żyję i żyć będę!...

Ale co to było? Co się ze mną działo? Czary jakie, czy co?

Rozejrzałem się dokoła i nagle wśród rzednącej mgły, nie dalej niż sto kroków od siebie dojrzałem chatę.

Już teraz dojście do chaty stanowiło dla mnie prawdziwą fraszkę, błoto mi nie przeszkadzało.

Wyjący, a brany przeze mnie za wilka, duży pies przywitał mnie szczekaniem, płosząc kilka sztuk świń, ryjących w krzakach na brzegu bagna.

A w chacie?... Była to chata owego chorego gajowego Kazimierza, który właśnie tej nocy zakończył swój żywot doczesny i nad którego stygnącemi zwłokami dwie mieszkające w gajówce baby odprawiały modlitwy.

Ukląkłem w chacie przy zwłokach i oddałem nieboszczykowi ten „wieczny odpoczynek", który, choć dla niego przeznaczony, trafił do mnie, tak mnie fatalnie nastrajając.

JANUSZ OSSOWSKI

ZŁOTE CHWILE

Zawilce wznoszą białe swe kielichy
za zdrowie słońca i za wiosny zdrowie.
Wtóruje im fiołków poszept cichy,
co wśród suchego kryją się listowia,
nie znając spokój niweczącej pychy.

Z kielichów kwietnych pszczoły i motyle
za zdrowie wiosny piją napój życia.
Powoli płyną ciche złote chwile...
Jak dobrze tutaj zaszyć się w ukryciu!
Tu myśli nić nie plącze się zawile.

Z tajemnic bytu zrywam sam zasłonę
powiewną, cienką, niby sieć pajęcza —
i, tuląc się do łona ziemi, chłonę
jej moc wieczystą. Dusza się rozdźwięcza
i śpiewa pieśni kwieciem umajone.

Wtóruje mi trel zięby, krzyk dzięcioła
brzęczenie pszczół i tkliwy poszum lasu.
Gdzieś grzywacz jęczy — kogoś tęsknie woła,
bo w jego sercu miłość nie wygasa
i smutno mu, choć dzwoni śmiech dokoła.

Powoli płyną ciche złote chwile...
Jak dobrze tutaj zaszyć się w ukryciu!
Tutaj nić myśli nie plącze się zawile.
Wypijam duszą tajemnice życia,
jak z leśnych kwiatów piją miód motyle.

W. L. von FALKENAU

ŚLĄSKIE TOKI

Nawet stali mieszkańcy Śląska napewno nie zdają sobie z tego sprawy jak stosunkowo rozpowszechnionym ptakiem w tej krainie jest cietrzew. Pozwolę sobie stwierdzić, że już w odległości niespełna 2 klm od rynku i teatru katowickiego można ustrzelić cietrzewia na normalnym toku!.. W odległym o 4 klm Panewniku sam widziałem w zimie ub. roku stado czarnych ptaków, które zrazu wziąłem za wrony, a przy bliższej obserwacji ze zdumieniem rozpoznałem jako cietrzewie. Dzierżawca tych terenów objaśnił mnie, że stale spotyka tu gromadę tych ptaków, często w liczbie ponad 50 sztuk razem. Wskutek postępującej industrjalizacji ilościowy ich stan obecnie szybko się jednak zmniejsza. Za duża jest tam już penetracja ludzka — a nadto cietrzewie, podobnie jak i kuropatwy, łatwo zabijają się o druty telegraficzne i przewody wysokich napięć elektrycznych. Z jednej strony gęstnieje sieć tych pułapek oraz szkodliwa inwazja niepożądanych elementów, z drugiej kurczy się i rzednie leśna ostoja.

Mimo to jeszcze dziś można cietrzewie uważać za pospolitą zwierzynę łowną na Śląsku, występującą wszędzie, gdzie tylko jakie takie jeszcze warunki dla swego bytowania znajduje. Jest to dowodem, że cietrzew konkurencji z rozpierającym się w przyrodzie człowiekiem zbytnio się nie lęka i posiada zastanawiającą zdolność przystosowywania się do współżycia z ekspansją ludzką. To samo odnosi się do lisa, który wszędzie tam, gdzie są cietrzewie, mocno się trzyma. Dlatego stanowi on też dotąd miłe i bardzo częste trofeum myśliwych w najbliższych peryferjach Katowic. Niedawno nawet jeden szczególny ulubieniec św. Huberta zdobył w lesie pod Katowicami... regularnie srebrnego lisa — ale jest to już inna sprawa, o której wspominam tylko mimochodem, podczas gdy kroniki sądowe (zresztą bez żadnej szkody dla wybrańca losu) zanotowały fakt ten oficjalnie!...

Gdy więc tylko nieco silniej przygrzewać zaczęło tego roku wiosenne słoneczko, nie odstępowała mnie wizja przedświtu, spowitego w mgły i bulgotem cietrzewich toków rozdygotanego. Z radością przeto przyklasnąłem apelowi serdecznego druha, by w dobranej kompanji nowe przeżyć emocje myśliwskie. Późną nocą we trójkę mkniemy autem po asfaltowej szosie. Pogodne niebo mamy gwiazdkami usiane, a jasno świecący księżyc spogląda na pogrążoną w śnie ziemię śląską, tętniącą jednak odgłosami pracy nocnych szycht. Mijamy wyniosłe kominy fabryk, hut i kopalni, tu i ówdzie oślepiający blask żarzących się palenisk — ocieramy się o granicę. Na lewo ogromne skupisko świateł — to Bytom, który nie jest nasz, a przed 20 laty był siedzibą Gł. Kom. Plebiscytowego, zwycięsko mocującego się z wrogą potęgą, szermującą fałszem, butą i bezczelnością.

Późna pora, fantastyczność zmieniających się obrazów, wreszcie monotonny szept motoru, działają usypiająco. A oto wstęgi całkiem nowych drutów kolczastych... Migocące światła Bytomia ruszają z miejsc, grupują się w linje i szeregi wspomnień, wreszcie tworzą kontury napisu, wyrażającego aktualną sentencję: *Sic transit amicitia*.

Znajdujemy się na potężnym skręcie, czas się przebudzić... Ocknąłem się. Jedziemy boczną drogą, zagajami, jakby tunelem w zieloności drzew i gałęzi. W ostrem świetle reflektorów las tchnie tajemniczym urokiem i ciszą spotęgowanym majestatem, gdyż, poza oświetlonem pasmem, reszta przestrzeni tonie w skondensowanej ciemności, stanowiącej królestwo chochlików leśnych i zagadek przyrody. Wzmogła się noc i zaszedł księżyc.



Bagienko pod lasem

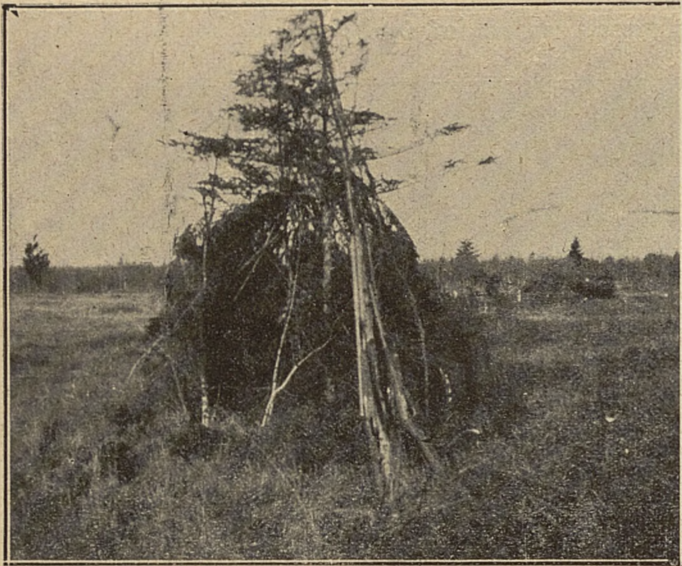
Dobijamy wreszcie celu, położonego w powiecie lublinieckim. Zatrzymuje nas leśnik i za chwilę wtaczamy się na podwórze gajówki z trzech stron gąszczem otoczonej. Gajowy raportuje, że cietrzewie są i tokują i, że jak tylko będzie bezwietrznie, a nie rozdeszczy się, ręczy za sukces naszej wyprawy. Wpadamy w dobre humory, a że do marszu jest jeszcze prawie dwie godziny, zastanawiamy się co robić. Żona gajowego radzi nam wyciągnąć trochę po podróży kości i poleca przyszykowane do tego celu łoże małżeńskie. Przyjmujemy tę propozycję i mnie wpychają w środek po to, bym raz na zawsze skonstatował, że system dwóch łóżek nadaje się najwyżej dla dwóch osób. Nie zmrużywszy oka, doczekałem się wreszcie upragnionego hasła. Każdy zrywa się ochoczo, raźno kompletuje ubiór i rynsztunek. Ruszamy!...

Rozolutna „gajowa", akurat mnie życzy powodzenia i szczęścia. To już taki mój pech, że wszyscy mi dobrze zawsze życzą... Powodzenie się zaraz okazało, bo gdyśmy tylko nosy na pole wytknęli, stwierdziliśmy ze smutkiem, że mży nadobre i jest ciemno, jak w garnku. Za to panuje cisza i wilgotne ciepło. Posługując się skrzętnie elektrycznemi latarkami, idziemy gęsiego jakieś pół godziny, miękkim gruntem torfiastym, pokrytym wrzosowiskami i, jak mogę wyrozumieć w mroku, stanowiącym dawne wyrębisko.

Deszcz ustał, zamajaczyły kontury budki. Jeden z drużyny odrywa się i zostaje. Ja zajmuję drugą budkę, do której wejście gajowy zawiera chojakiem. Namacawszy ławeczkę, siadam w kompletnej ciemnicy. Tu w samotności spędzę najmniej 4 godziny, czekając w napięciu przygody, jaką mi los przeznaczy.

Ciemno i niby cisza, ale zewsząd dochodzą mnie

odgłosy. Rozglądam się przeto ciekawie i poprzez ażur doskonale zestawionej budki widzę nawprost ciżbę świateł jakiejś bliskiej miejscowości, zaś tuż na lewo sznury lamp elektrycznych i wyraźny hałas robót, łoskot maszyn, zgrzyt wózków... Nawet dochodzą mnie echa odległych nawoływań! Z tyłu gwiżdże lokomotywa i rozgłośny szum przejeżdżających pociągów idzie lasem i polem. Hen gdzieś zdalsza trąbi i klaksonuje automobilista.



Budka na tokowisku. Fot. Inż. E. Woynicki

Tu mają być cietrzewie?! Toż to chyba jakiś niewczesny kawał! Raczej mam wrażenie, że znajduję się na dziedzińcu jakiejś olbrzymiej i rozległej fabryki. Pełen zwątpień odstawiam dryling i kładę się na ciepłej, suchej ziemi, by przedrzemać się tę resztkę nocy. Wkrótce jednak świsnął kos, zwolennik wczesnego wstawania, a na łąkach zakwiliła czajka. I wtedy, jakby na dany znak, hurmem buchnęły w niebo skowronki i rozperliła się odurzająca symfonja ptasich rozhoworów. Zewsząd zaczurykały kuropatwy i już skądś dochodzi mnie pierwszy bełkot cietrzewia. Senność pierzchła bez śladu i leżąc wsłuchuję się w cudowne misterjum budzącego się naokoło życia. Zaczynam wierzyć, że wśród tych osobliwych warunków jednak cietrzewie być mogą...

I właśnie elektryzuje mnie wyraźny tok opodal mej budki. Za chwilę rozlegają się czuszykania w różnych punktach i stronach. Ustalam, że mam koło budki trzy koguty, tokujące żwawo, prawdopodobnie na dogodny strzał śrutowy. Dopiero brzask — więc dalej bez ruchu słucham muzyki toku i śpiewu różnego ptactwa. Wtem strzał rozdarł ciszę! To sąsiad trzeci! Wstaję więc zwolna i próbuję rozejrzeć się po otoczeniu. Niewiele jednak jeszcze widzę... Moje cietrzewie zamilkły. Zaczyna padać. Coraz jaśniejszy dzień wolno wstający i coraz rzęsistszy deszcz! Słyszę odgłosy dalekich gdzieś toków. Za chwilę przyciekła do mej budki kuropatwa, otrzepała się z deszczu, rozejrzała bystro i głośno krzycząc pobiegła dalej. Potem znów zając przykucnął tuż, pomedytował, ruszył siwemi wąsami i wpełzł między wrzosy. A już deszcz przebił mi kapelusz i czuję, że struga wody sączy się po włosach i karku. Zakładam więc w to miejsce chusteczkę, poruczając pełnienie jej roli gąbki...

Na dobre 150 kroków przed mem stanowiskiem ciągnie się jakaś droga. Na jej brzegu usiadł jakiś zafrasowany kogut, zatokował parę razy i stoi piersiami do mnie zwrócony, długo, bez ruchu. Widzę go bardzo wyraźnie, więc uważnie strzelam specjalną kulą. Po strzale jakby się w ziemię zapadł, znikł — nie wiem, odleciał czy leży?... Po dłuższej chwili nadleciał znów kogut i, usiadłszy na niespełna 40 kroków, zaczyna mimo deszczu zawzięcie tokować. Wysuwam broń przez okroploną ściankę budki i strzelam śrutem. Ku memu zdziwieniu kogut odlatuje... Wtem ruszył się wietrzyk i jedna z grubszych gałęzi mej budki powoli się nachyla i łamie. Wzrastająca wilgoć utrudnia mi badania, lecz stwierdzam, że strzał zmiażdżył gałąź do ¾ jej grubości. Teraz rozumiem odlot cietrzewia, lecz dotąd dziwnem mi się wydaje, jakim sposobem po takim strzale w gałąź osypały mnie całego drzewne trociny?...

Na dany znak wyłażę z budki i wykręcam z wody całkiem przesiąkniętą chusteczkę. Idę na miejsce drugiego zestrzału. Niema żadnego śladu. Więc dobrze, że pewnie zdrowo uszedł. Wracam do budki licząc kroki, idę wprost na koguta pierwej strzelanego. O radości! — leży w rowie bez życia, barwiąc kępę szarego wrzosu czerwienią i granatem.

Z dwoma kogutami schodzimy z placu. Teraz dopiero rozglądam się w terenie i okolicy. Budki stoją na szerokim pasie wrzosowisk, przylegających długim bokiem do lasów i łąk. Jeszcze niedawno były to zrzadka porosłe drzewami bagna i mokre torfowiska, dzisiaj podkopane robotami górniczemi osuszyły się całkowicie i znajdują się w fazie powolnej degradacji. Tuż obok są kopalnie rudy żelaznej — wre tam praca dniem i nocą!...

I choć cietrzewie pozostały wierne swej odwiecznej ostoi i dawnych swych tokowisk całkiem wyrzec się i opuścić nie chcą — to jednak polowanie w tych warunkach, przy akompanjamencie spraw ludzkich i ich natrętnych interesów, nie daje myśliwemu prawdziwych emocyj, płynących z uroku obcowania z pięknem niczem nie mąconej przyrody.

Inż. Dr. JAN PODGÓRNY

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na II półrocze, III kwartał, lub na miesiąc czerwiec.

Przypominamy, że cena prenumeraty została na r. 1939 znów obniżona.

Administracja.

NA ROGACZA

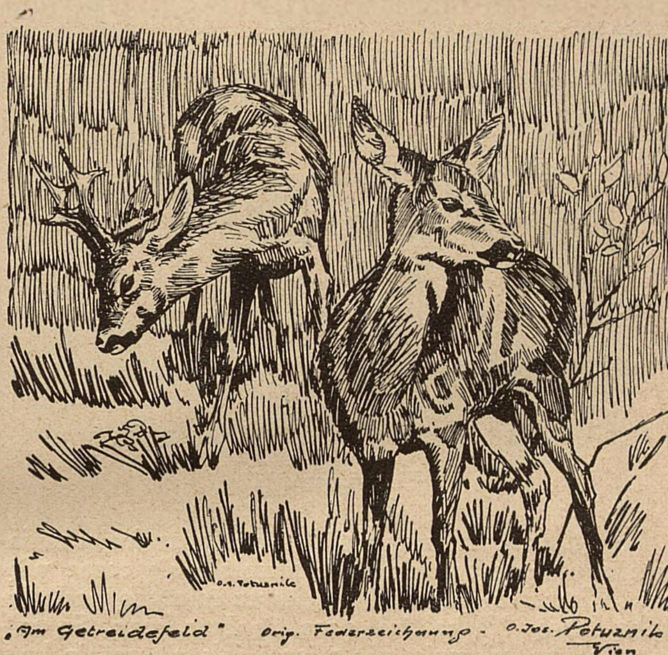
Z dr. Franciszkiem Brüchem poluję prawie od chwili przyjazdu do Lwowa, przed kilku zaś laty wiele włóczyliśmy się razem, zaczynając wczesną wiosną na słonki, latem na rogacze, a później jeszcze brodziliśmy po bagnach, szukając kszyków, dubeltów i kaczek. Nieraz jeden drugiego wyciągał, gdy w grząskiem błocie któryś z nas utknął dokumentnie. Nie chcę przez to twierdzić, że, będąc lżejszym i nie rozporządzając poważniejszem „przedsiewzięciem", łatwiej dawałem sobie radę w przeskakiwaniu z kępy na kępę, zwłaszcza na torfowiskach Sieciechowa. Mój zaś towarzysz nieraz wcale udatnie naśladował spoconą twarzyczką piękne okazy nenufarów i opierając się brzuszkiem o błotko wyczekiwał pomocy, którąby go z opresji wydobyła.

Kiedyś późnem latem zapędziliśmy się do lasu w Powitnie, dybiąc na rogacza. Naprózno jednak błądziliśmy po zrębach i nad łąkami przez wieczór i następny ranek: las był pełen różnego kalibru bab i dzieciarni, pilnie zbierających jagody. Sarny ukazały się późno, już o zmroku. Rankiem też nic nie wskóraliśmy i wyprawa okazała się niezbyt pomyślną. Upamiętniła się jednak przez nocleg. W jedynej gajówce możliwem miejscem do przenocowania był stryszek nad stajnią, oborą, kurnikiem i chlewem jednocześnie. W izbie była wedle zwyczajów dostateczna ilość much oraz brudu, sporo dzieci, jeszcze jedno właśnie spodziewane. Trudno, trzeba było wleźć na stryszek, na resztki starego siana, chociaż mogło być już nowe. Nasiąknęliśmy trwale wonnemi wyziewami nocnych sąsiadów z pod strychu i musieliśmy się obaj usprawiedliwiać i tłomaczyć długo przed małżonkami z zapachów, które towarzyszyły nam do Lwowa.

Drugiem nieszczęściem był brak napojów do gaszenia pragnienia, dającego się nam srodze we znaki po upalnym dniu. Cóż, kiedy studnia była zbyt blisko obory i posiadała jakieś tajemne połączenie z gnojówką, jedyna krowa była cielna, mleka nie sposób było wziąć do ust. Poprostu rozpacz! Niewielka ilość kawy w termosie dr. Franciszka zbyt szybko się wyczerpała i dopiero następnego ranka napoiliśmy gardziołka kwaśnem mlekiem, przegryzając czereśniami, co wszystko zdobyliśmy u dróżnika kolejowego w drodze powrotnej. Pomimo trochę ryzykownej mieszaniny, cali i bez przygód dotarliśmy do Lwowa.

Innym razem, jakoś w połowie lipca 1934 r., jak to kroniki podają, pojechaliśmy obaj na rogacza do Stulska, kniei sławnej z pięknych rogaczy, licznych stad dziczych i mnóstwa lisów. Umieściliśmy się w gajówce, w głębi lasu, na t. zw. Klikiczkach. Mój towarzysz zamówił sobie parę koników i wózek, usiłując z podjazdu kropnąć dobrego rogacza. Ja postanowiłem próbować szczęścia z podchodu, co było dla mnie więcej ciekawe, no i pożyteczniejsze ze względów budżetowych.

Pierwszego wieczora dr. Franciszek pojechał na Dąbrowę, ja powędrowałem do oddziału 10. Przebywał w tych stronach od kilku lat dobry rogacz, stary wyga, chytry, podejrzliwy, już niejednokrotnie ostrzeliwany przez towarzyszy klubowych. Nie sposób było w tej stronie nie spotkać się z rogaczem wogóle, inna sprawa, czy z dostatecznie zaspokajającym wymagania myśliwego. Chociaż z temi wymaganiami odnośnie parostków to dzieje się zwykle w ten sposób, że właściwa ocena nastąpić może dopiero, gdy parostki weźmie się w ręce. Tylko wyjątkowo, mając rogacza na otwartem miejscu i niedaleko, oraz w dobrem świetle, można dokładniej określić jakość parostków, rzadko jednak się zdarza, aby wszystkie warunki były jednocześnie możliwe. Najlepsze szkła ułatwiają, ale nie rozwiązują całkowicie zadania. Trzeba jeszcze z rogaczem „umawiać się", aby stał długo, spokojnie i dobrze parostki pokazywał. Ale należy się zawsze łudzić, że wszystko ułoży się dostatecznie dobrze; właśnie pełen tego rodzaju nadziei przepatrywałem przez szkła rozległy zrąb w 10 oddziale.



Słońce było jeszcze wysoko, zbyt było wcześnie na przechadzki sarnie, cóż jednak miałem lepszego do roboty? Dojrzałem leżącego pod krzakiem rogacza, głęboko w debrze, ale tylko z jednym rogiem. Nie niepokoiłem go i wycofałem się w przeciwną stronę, gdzie pod wysokim lasem było pustkowie, na którem zwykle żerowały sarny. Po drodze natknąłem się na szpiczaka. Szedłem za nim ze 100 metrów, depcąc mu prawie po raciczkach. Kiedy rogacz przystawał i podnosił głowę do góry, przystawałem i ja, gdy posuwał się żerując w wysokiej trawie, i ja posuwałem się za nim. Bawiła mnie przez chwilę ta zabawa w ciuciubabkę, wreszcie sprzykrzyła się. Ukłoniłem się rogaczowi we właściwej chwili z wdziękiem, na jaki się tylko mogłem zdobyć. Nie zostało to jednak należycie ocenione. Zwierz jednym susem zniknął za krzakiem i przez chwilę oszczekiwał mnie wręcz napastliwie.

Wysunąłem się na drogę, którędy kiedyś prowadziła kolejka. W zagłębieniu pod wysokim lasem żerowały wedle praw miejscowych dwie czy trzy sarny. Ale gdzie jest ich władca? Rozglądam się ostrożnie: jest! Stoi za drogą pod krzakami. Trochę daleko

na strzał, więc powoli podchodzę kilkadziesiąt kroków, przystaję za kępą młodej buczyny i zabieram się do mierzenia. Rogacz cały czas stał prawie bez ruchu. Przeszkadzają mi gałązki, a kiedy uporałem się z niemi, sztucer nie chce wypalić. Psia kość, zapomniałem odbezpieczyć. Znów zatem niepotrzebny ruch. Było tego za wiele dla mego przeciwnika, cofnął się na przygotowaną zgóry pozycję, niknąc jak duch w gęstym młodniku. Ustosunkowałem się dość nieprzychylnie do własnej sprawności strzeleckiej, czasu bowiem do strzału było aż nadto, a rogacz wydawał się wcale dobry.



Piękne parostki

Powędrowałem znów w głąb zrębu, poszukując nadaremno nowego spotkania. Ściemniało się coraz więcej. Wracałem powoli ku gajówce ścieżyną nad głęboką debrą. Na haliźnie pasą się duże kozy. Są całkiem blisko odemnie, nie więcej jak piętnaście kroków. Stoję cichutko i badam otaczające gąszcze, czy rogacz gdzieś nie tkwi swoim zwyczajem za krzakiem. Coś tam szeleści po lewej stronie — uwaga... szelest coraz bliżej i bliżej, zwierz jakiś idzie wprost na mnie. Ukazał się rogacz, żeruje, kręci się między krzakami, widzę, że szóstak, ale czy dobry czy słaby, tego nie sposób dobrze ocenić. Postanawiam strzelać. Leży — cóż kiedy słaby! Będzie dr. Franciszek pokpiwał z mej zdobyczy, ale mówi się trudno, może jeszcze upoluję coś lepszego.

Tym razem dr. Franciszek był dla mnie bardzo wyrozumiały, miał swoje powody do tego. Strzelał do rogacza na Dąbrowie, coś zbyt blisko, w luniecie widać było jedną czerwoną plamę, sztucer mu się przekrzywił, gajowy chrząknął, komar właśnie w chwili strzału siadał na nosie, nic więc dziwnego, że w tych warunkach rogacz uciekł zdrów i cały. Jakoby był bardzo dobry i dr. Franciszek powziął silne postanowienie poprawy, byle tylko jeszcze raz rogacza zdybać.

Następnego ranka doktór jedzie szukać swego znajomego na Dąbrowie, ja zasiadam nad łąką na Stawkach, gdzie już raz udało mi się podejść i ubić ładnega rogacza. Niestety, tym razem tylko kozy wyszły na łąkę z gąszczu. Sprzykrzyło mi się siedzenie bez ruchu i idę szukać szczęścia na zrąb swojej łąki, dość stromo wznoszący się ku drodze z przeszłościową kolejką. Idę sobie pomalutku, przystaję co kilka kroków, przez szkła badam lewą i prawą stronę — jakoś nic nie widać.

Słońce wysunęło się zza lasu i prawie jednocześnie dostrzegłem rogacza, wędrującego ku mnie. Znieruchomiałem. Rogacz wlazł za krzak: korzystam z tego i podnoszę sztucer do góry. Słońce bardzo utrudnia badanie parostków, stoję zaś na tak otwartem miejscu, że o jakiemś podnoszeniu szkieł do oczu nie może być mowy. Trzeba było polegać tylko na wzroku, gdyż lunety na sztucerze nie miałem. Rogacz wysuwa się z za krzaku, widzę — szóstak. Mierzę, buch. Rogacz skoczył z powrotem za krzak, coś zdrowo wyglądając. Szybko repetuję i gdy zwierz wyskoczył z drugiej strony, strzelam powtórnie, tym razem celnie. Cóż, kiedy znów słabeusz, akurat taki, jak wczorajszy.

Doktór Franciszek tym razem wygłosił dłuższe przemówienie o konieczności i wielkim pożytku odstrzeliwania słabych rogaczy ze względów hodowlanych. Lekko wspomniałem o wczorajszych przewagach doktorskich, których dziś, niestety, nie powtórzył, nic bowiem ciekawego nie widział, w każdym razie do niczego nie przyznał się, musiałem zatem przyjąć do wiadomości i wierzenia to, co mi opowiadał.

Zostajemy na następny dzień, dalej próbować szczęścia. W dzień nuda. Myszkujemy tu i tam i dowiadujemy się o obecności raków w stawach i strumieniach, gajowy ma siatkę, a ubite rogacze — piękne i smakowite wątroby. Nałapaliśmy raków przeszło kopę, same duże. Małe nie cieszyły sie naszem uznaniem. Spiżarnia gajowego okazała się zaopatrzoną w koper, co umożliwiło wspaniałą ucztę rakową, a obaj przepadamy za rakami po rusku. Trochę doznaliśmy rozczarowania, gdyż raki były duże, ale strasznie chude. Języki jednak pokłóliśmy sobie wedle wszelkich przepisów sztuki, a to bezmała przy zjadaniu raków najważniejsze, tak naprzykład, jak popłakanie się na Święta Wielkiejnocy nad zbyt silnym chrzanem.

Wieczór nie przyniósł żadnemu z nas nic ciekawego. Rankiem idę zasiąść na czatowni w 2-im oddziale, nad małą polanką, otoczoną zwartym gąszczem bukowym. Rozwidniło się już dobrze, na polance panował niczem nie zmącony spokój. Postanawiam powędrować na drugą stronę głębokiej debry, oddzielającej z jednej strony polankę od gąszczu. Byłem dokładnie pośrodku, gdy po drugiej stronie debry, na maleńkiej haliźnie dostrzegłem rogacza, bacznie przyglądającego się mej osobie. Na pierwszy rzut oka mogłem tym razem stwierdzić, że rogacz miał bardzo dobre parostki. Zastanawiałem się w jaki sposób podnieść sztucer do oka, gdy doszedł mnie z tyłu dość głośny świst. Rogacz zniknął w krzakach, groźnie szczeknąwszy. Oglądam się i widzę gajowego, idącego przez polankę ku mnie. Bałwan jeden, dojrzał rogacza i chciał mnie powiadomić o swojem odkryciu. Człowieku, toć zanim tyś rogacza zobaczył, to ja go już od godziny widziałem!... Gdzie cię licho niesie, lepiejbyś spał pod ciepłą pierzyną. Żebyś spuchł! Co robić, filozofem myśliwskim już nigdy nie będziesz. Wiem o tem oddawna, więc względnie łagodnie przechodzę nad wydarzeniem do porządku rannego. Szperam po zakamarkach oddziału, ale prócz jednej czy dwóch kóz nic ciekawego nie spotkałem.

Wracam do gajówki. W samą porę, niebiosa bowiem, przysłonięte dotąd niskiemi chmurami, teraz otworzyły swe upusty i leje bez miłosierdzia. Doktór Franciszek wraca przemoknięty dokładnie. Ponoć też spotkania nie miał, jest zły, chce wracać. Namawiam, abyśmy zostali jeszcze na jeden wieczór i ranek, możemy pojechać jutro rannym pociągem i o 9 rano będziemy we Lwowie. Gotów mu jestem odstąpić dziś rano widzianego rogacza. Nie wierzy mi, jakoby rogacz miał dobre parostki, godzi się jednak na pozostanie, ale dalej będzie szukał szczęścia na Dąbrowie, trzęsąc kiszki i żebra po leśnych drogach na zwykłym wozie, skądinąd do podjazdu najdogodniejszym.

Nie zmartwiłem się zbytnio tego rodzaju biegiem wydarzeń i dość wcześnie idę zasiąść nad debrą naprzeciwko halizny, gdzie dziś rano widziałem rogacza. Deszcz przestał padać po południu, ale mokro jest straszliwie. Powietrze ciepłe, parne, chmury nisko wiszą, zdaje się, że ręką można je sięgnąć, ciężkie krople spadają z liścia na liść, monotonnym szmerem napełniając milczący las. Dzielnie musiałem walczyć z ogarniającą mię sennością. Siedzieć trzeba było spokojnie, prawie bez ruchu, pilnie śledząc każdy szmer, każde poruszenie się gałązek w gąszczach. Gdzieś koło godziny 19-tej w jednostajny szmer spadających kropli wody wkradł się inny, też wywoływany spadającemi kroplami wody, ale nie jednostajny, lecz raz cichy, to znów gwałtownie wzmagający się: jakiś zwierz przedzierał się przez gąszcz ku debrze. Wyraźnie słyszę, jak szmer przesuwa się zboczem na dno debry i zbliża się ku mnie. Ścisnąłem mocno sztucer i bez mrugnięcia okiem siedzę, jak mysz pod miotłą. Nie ulegało wątpliwości, że mój poranny znajomy wędrował na haliznę, gdzie widać zwykł był spożywać swe poranne i wieczorne posiłki. Już jest podemną, na dnie debry, widzę go dobrze prawem okiem. Pomału sobie kroczy, tu skubie trawkę, tam urwie młody pęd z krzaka. Już zmienił kierunek, już wspina się ku haliźnie, równa się wysokością z mojem stanowiskiem.

Korzystam, gdy głowę ma odwróconą w przeciwnym odemnie kierunku i nieznacznym ruchem podnoszę sztucer. Chyba raczej wyczuł niż spostrzegł ruch, gdyż niespokojnie się ruszył, stanął bokiem do mnie i przegląda otoczenie. Nie czekałem na dalszy wynik przeglądu, muszka „szóstki" spoczęła na komorze czerwonego zwierza i ostry strzał zmącił ciszę. Rogacz, jakby piorunem rażony, potoczył się w dół. Wreszcie zdobyłem coś lepszego. Parostki miał niewysokie, wszystkiego 22 cm, ale pięknie uperlone, grube, ciemne, o dobrych różach, mierzących 16 i 15,5 cm obwodu. Spoglądam na nie, pisząc te słowa, z prawdziwą przyjemnością. Rogacz okazał się starym zwierzem, przypuszczalnie tym, na którego poprzednio w sąsiednim 10-ym oddziale dybali moi towarzysze klubowi. Ważył przeszło 35 kg po wypatroszeniu, prawie tyle, co oba poprzednio strzelone rogacze razem.

Późnym wieczorem, znów z deszczem, powrócił dr. Franciszek. I tym razem bez zdobyczy, już widać jakiś wyjątkowy pech musiał go prześladować. Gdy dowiedział się, że znów ubiłem rogacza, zaraz osądził, że chmyz to musi być jakiś znamienity, w miarę jednak jak zaczął pociemku obmacywać parostki, szybko zmienił zdanie. Przyznaję się, że w chwili tej odczuwałem jakgdyby odniesiony tryumf nad starszym, bardziej doświadczonym towarzyszem.

Upływa wnet pięć lat od dni tych wspomnień. Znów zbliża się lato, znów żądza wzruszeń łowieckich ciągnąć będzie do kniei, może uda się latem zdobyć ładne parostki.

Doktorze Franciszku! Szykuj sztucer, może znów razem pojedziemy na włóczęgę po kniei. Prośmy św. Huberta, aby dla nas był łaskaw, aby nam wyczarował piękne spotkania.

JERZY BŁESZYŃSKI

PRZEZNACZENIE

Drzemie ciche jeziorko pośrodku olszyny,
skazane przez los srogi na wieczne więzienie,
przykute kajdanami do swojej kotliny,
tęskniące za wolnością z daremnem westchnieniem.
Nie może się stąd wyrwać — pędzić w świat daleki,
jak jego bliscy krewni — strumienie i rzeki.
Czasem tylko przyjaciel wiatr przyniesie wieści
weselsze — nudę zmąci i fale poruszy,
olchom bajkę opowie, liśćmi zaszeleści,
i rzuci pocieszenia szepty na dno duszy.

Czasami przyjdzie słonko ciepłe już o wschodzie,
i na taflę lustrzaną rzuci garść promieni,
potoczą się jak barwne paciorki po wodzie;
jeziorko drgnie, ożyje, tęczą się zrumieni;
i jeszcze go opasze dookoła wieńcem
zielonym — przeplatanym złotawym kaczeńcem.
Wkrótce któregoś ranka bardzo już ciepłego,
zbudzili się mieszkańcy ze snu zimowego;
ród żabi powytykał z wody szare główki;
i dalejże kumkanie i głośne rozmówki,
a zaraz nowi goście zjawili się potem,
przylecieli z podniebnych sfer z lekkim trzepotem
i usiedli przy sobie w strojach pełnych krasy,
by spędzić tu w zaciszu wiosenne wywczasy;
zaczęli gruchać czule — kochanek, kochanka,
skuci miłosnym węzłem Cyran i Cyranka —
i mogą żyć spokojnie, bo trafem szczęśliwym,
wzbroniono pieśń miłosną przerywać myśliwym...

Za nimi stado czajek spadło z wielkim wrzaskiem,
każda szczyci się dumnie swoim z kitką kaskiem,
spaceruje i miejsca na gniazdo wciąż szuka,
bo zrobić dobre gniazdo, to nie byle sztuka.

Zawrzało bujne życie, bo o każdej porze,
rojno było i gwarno teraz na jeziorze,
a kiedy tak się obraz jego życia zmnienia,
już klatka nie tak smutna wiecznego więzienia...

Jeziorko z głębi serca westchnęło oparem,
nie mogło dociec zgoła swego przeznaczenia
w szlaku ziemskiego bytu tak odwiecznie starym.
Poczęło w cudzem szczęściu szukać pocieszenia...

KIWERSKA KOZŁOWSKA

PIERWSZY DZIK

Pierwszy dzik!... Któż zdoła wyrazić ile rojeń, snów i nadziei krąży wokół tej wymarzonej chwili gdy młody myśliwy stanie po raz pierwszy w życiu z bronią w ręku oko w oko z brutalnym panem i władcą naszej kniei!

Kiedy?... jak to będzie?...

Ilekroć Wikowi zwieczora myśl ta przychodziła, tyle razy spędzała mu sen z powiek. Leżał wówczas cicho, zasłuchany w poszum, szmery i szepty weteranów starego parku, widząc w pół-sennem marzeniu, a przecie wyraźniej niż na jawie, czarną szczeć na białym śniegu.

Więc jak?... może... będzie to na ogólnem polowaniu? Wśród jękliwych dźwięków trąbki, pokrzykiwań naganki i rzadkich a ważkich gromów strzałów, padających na sąsiednich stanowiskach? Tam, gdzieś w kniei, zerwie się nawprost niego gwałtowny łoskot i dudnienie... wybuchną namiętne wrzaski naganki, a po linji myśliwych przebiegnie gorący dreszcz: watahę dzików ruszyli!



11-letni Ada (Władysław) Piotrowski, syn Podłowczego Powiatowego w Mołodecznie, z ubitym przez siebie wilkiem w dniu 26 lutego r. b.

A one... one... ruszą najpierw nawprost... nie... w prawo!... spróbują przerwać linję naganki, lecz zawrócone krzykiem naganiaczy pójdą na jego sąsiada. Ależ nie!... defilują przez linję, hen, daleko od niego. Widzi je, liczy!... Z zapartym oddechem, z sercem aż gdzieś w gardle, z rozpaczą w duszy żegna je wzrokiem...

Nagle... czyżby przywidzenie?... Nie!... Tuż przed nim rozsuwają się krzaki i nisko ponad ziemią ukazuje się wąski, czarny łeb, z którego złośliwe, paciorkowate oczka śledzą niespokojnie każdy ruch chłopca.

Wikowi dech zaparło!... Do oka broń! Wtem trzask za dzikiem! Psia krew! — Naganka za blisko!

Tymczasem zwierz przestraszony jego drgnieniem, ostro rzucił się w bok. Pójdzie!... Na szczęście nie! Dzik gwałtownym, ciężkim, a krótkim świńskim galopem runął przed siebie. Tratuje, łamie po drodze niskie krzaki... już jest na linji, już wpada w lukę za nią... Taak! Dobrze!... łopatka... założyć...trrrrrach!

Potężny kozioł i wielkie, czarne cielsko wali się z łomotem w przydrożny jałowiec.

Serce Wika na moment całkiem bić przestało, bo oto w nagłym błysku zrozumiał, że... jest! Oto jego pierwszy, jego własny pierwszy dzik, leży tam w krzakach! Wiko chciałby wydać jakiś dziki okrzyk bojowy, chciałby pędzić do s w e g o dzika... obejrzeć sztukę... strzał... Ale nie! Nie dość zabić dzika. Trzeba być myśliwym! Nie zejdzie ze stanowiska, póki się miot nie skończy.

Tymczasem gorąca fala zalewa mu serce, a w duszy grają mu głośno, głośno radosne fanfary zwycięstwa...

*

Znów wizja inna, piękniejsza jeszcze... Bo może to będzie inaczej? Może św. Hubert udzieli mu łaski tej, że na pierwszy raz spotka się sam, oko w oko z potężnym władyką-odyńcem samotnikiem, naprowadzonym przez wiernego Burka?

Boże! Cóż to będzie wówczas, gdy wśród dyszącej życiem głuszy lasem ozwie się granie psa, oszczekującego pojedyńczą sztukę?... Gdy ziemia zajęczy pod ciężarem przewalającej się masy cielska? A ruszy ona ku niemu z chrzęstem szabel złowrogo kłapiących, on zaś jednym strzałem położy ją i rozciągnie u swoich stóp.

Chyba mu wtedy hejnał zwycięski zagra knieja sama na pokrytych okiścią gałęziach, niby na kryształowej harfie. Chyba mu w pas pokłonią się te świerki obładowane czapami śnieżnych puchów! A on zatknie za czapkę gałązkę jedliny i wróci do domu cichy a butny, przez bór sam pasowany na rycerza św. Huberta.

*

Tymczasem rzeczywistość daleko odbiegła od rojeń rozgorączkowanej wyobraźni Wika.

W pogodny lipcowy poranek przybiegł do Wika stary gajowy, sam do zwierza podobny, z meldunkiem, że w lesie, w bajorku „obdal" kolejki leży chory dzik; tak chory, iż nie podnosi się nawet, gdy psy na niego nacierają, a broni się tylko kłapaniem szabel.

— Paniczu — zwierzał się zakonspirowanym szeptem Jan — to musi ten sam, na którego pan dziedzic się zasadzał, co to go ranili w Rokitnicy, jeszcze w zimie, że na trzech łapach chodził!

Wiko już nie słuchał. Podszedł szybko do szafy, wyjął swą szesnastkę, otworzył, sprawdził pod światło, czy lufy w porządku.

— Cóż! — trzeba go dobić!

Czuł się ważnym. Oto on, piętnastoletni chłopiec, ma spełnić obowiązek gospodarza łowiska.

A jednak dziwny chłód osiadł mu na sercu, gdy wpuszczał do kieszeni naboje kulowe, których nigdy jeszcze nie używał.

Dzik! Jego pierwszy dzik! Jeden jest w życiu pierwszy dzik. I to tak?... W lecie... w dodatku chory! Psia krew, że też ojca niema!

A tam, w kniei, czarną plamą odcinała się kałuża, w której leżała chora sztuka. Niezły wycinek tak bardzo podupadł na siłach, że nawet gawiedź leśna, nie krępując się, wrzask czyniła w gałęziach.

Czy przeczuł zwierz, że drobna figurka chłopca śmierć dlań znaczyła? Zapewne, gdyż na widok Wika dzik uczynił gwałtowny ruch, by się porwać. Lecz sił mu nie starczyło. Uniósł się tylko na przednich nogach i z fukaniem, zjeżoną grzywą, a groźnemi błyskami szabel, stawił mu czoło.

A Wiko szedł, jak urzeczony. Kroków dwadzieścia, piętnaście... dziesieć... stop! Do ramienia broń... huk strzału zmącił gędźbę leśną.

Czarna, zbrukana masa cielska bezwładnie osunęła się w błocko. Stało się.

Wiko przez chwilę stał jak odrętwiały. W ustach czuł gorycz, a w głowie dziwną pustkę.

Pierwszy dzik! Ten jego pierwszy, wymarzony!

Ha! Cóż robić! — Etyka myśliwska!...

Hardo podniósł głowę Wiko.

ANNA KARSKA

O PRIMAVERA!

W godzinach popołudniowych 10.IV.39 wybrałem się w swą pierwszą wycieczkę „spacerowo-lustracyjną" do parku Łazienkowskiego. Jako w drugi dzień Świąt Wielkanocnych — pusto i cicho było naokół. Jedynie biedacy, przykuci do swych warsztatów pracy — albo element tranzytowy — jako „podtrute" muchy — błąkali się smętnie po wspaniałych alejach króla Stasia. Ponieważ było dość chłodno — nawet poczciwe szare wróbelki nie ćwierkały jeszcze. Z lornetką w ręku badałem konary drzewnych potentatów — szmaty słonecznych przestrzeni, wolne od ramifikacji gałęźnej. Smutno było w mej duszy, że tam — nawet nie za górami i lasami tak bardzo — a gdzieś bliziutko tyle moich przyjaciół i kolegów myśliwych dosyta napawa się niezrównaną rozkoszą nadziei złotej — tam na tokach głuszcowych, na cietrzewiach, słonkach, kaczorach — a ja?... Przykuty do warsztatu swych zobowiązań literackich — ani rusz!...

Siedzę jako samotnik — w „mieście złem" — jak słusznie nazywał owe mrowiska ludzkie — nieodżałowany Juljan Ejsmond... To też przekroczyłem bramę Łazienek w nastroju wybitnie „minorowym".

Ale rzut oka na zieleniejące już pączki — na trawek zieleń — jak ręką zdjęły bóle wspomnień!... Słusznie powiada wielki poeta „Sully Prud'homme" że „un matin de soleil — la vitre toute rose et — nous voila guéris des chagrins de la veille" (poranek słoneczny — szyba od zorzy różowa, jesteśmy uzdrowieni z trosk dnia poprzedniego)...

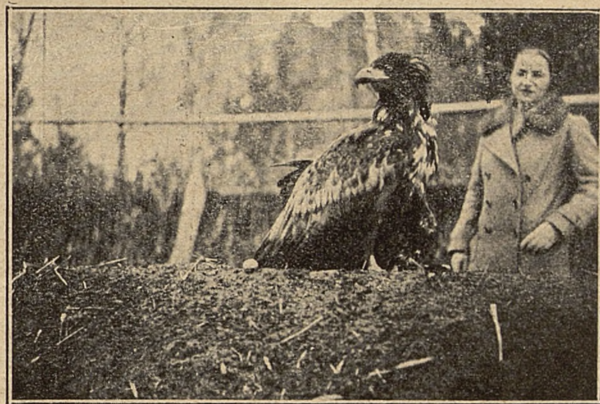
Rzecz dziwna i godna uwagi — „efekt" słów tych na ósmym krzyżyku sługi łaskawych Czytelników był „identyczny"... Kroczę więc — z ostrożnością Irokeza!

Szpaków jeszcze na lekarstwo — niema. Zgrabne milutkie sikorki (Parus minor) — kwilą potrochu, lecz „na skrzecząco" — bez melodyjnej godowej zwrotki.

Raptem widzę: najprawdziwszy samczyk zięby podrywa się ze świeżej przedświątecznej skopanej kwatery... Delektuję się patrząc na śliczną modrą główkę, ceglasto różowe upierzenie ptaszka. Nieco dalej — już sparowane stadko tych samych miłych ptaszyn daje się widzieć... Dzięki Ci, Boże! — że dożyłem do podobnych emocyj. Bez krzty fałszywego wstydu szczerze wyznaję! — Za trzydzieści lat, jeślibym żył jeszcze — co daj Boże — „stuknęłoby" mi — jak „rybie oko" — pełne sto! I nie zważając na taką komplikację, mea culpa! — dwie wielkie łzy „zarosiły" twarz leciwego pułkownika — pisarza.

Bynajmniej — nie były to łzy „goryczy" — o nie!...

Nastrój szczygiełka w pogodny ranek majowy zapanował nad całą moją mentalnością. Oparty o sędziwą stanisławowskich czasów brzozę — cieszyłem się widokiem skromnych fringilów coelebs'ów — więcej być może jak sam Szekspir — na swą kreację Romea i Julji w scenie balkonowej! Chorobliwe przeczulenie — nastroje sentymentalnej neurastenji. Być może!? Lecz szczęśliwy tem byłem i... nigdy tak dobitnie nie zrozumiałem prawdy słów Dantego „O primavera gioventa dell anno — o gioventa — primawera della vita" (O wiosno roku młodości! — O młodości — wiosno życia...) Szczęśliw byłem — ukojony w troskach i szarzyźnie dni moich! Jedynym zgrzytem — nie estety lecz hodowcy — były kohorty zgrabnych, ślicznych wiewióreczek; jak „elfy" Łazienek — z taką gracją biorących dawane im orzeszki! Pisałem już nieraz o nadmiarze miłych gryzoniów na szpaltach Łowca Polskiego i o konieczności zmniejszenia ich liczby.



Orzeł, ubity w Karsznicach — listopad 1938 r.

Powtarzam to samo i dziś — „dura lex — sed lex". Kiedy zastanowiłem się, że prawdopodobnie garnące się w zaciszę naszych parków i ogrodów stadka przelotnych ptasząt, jak dwa razy dwa cztery — „muszą" mieć przez wiewiórki swe jajeczka zjedzone — pisklęta poszarpane na strzępy — o wtedy tak smutno na duszy mi się zrobiło!... Cóż robić, stary niepoprawny romantyk... Nie omieszkam, jeśli żyć będę, nieraz posłuchać jeszcze melodyjnych treli zięb i innych ptasich gardziołków — tych przylotnych żywych klejnocików, cudem prawie uratowanych — od lepu, sieci i pułapek w okresach ich migracyj — w warunkach europejskiej „kultury". Dzięki Ci Św. Hubercie! Czołem przed Tobą o Primavero dell anno!...

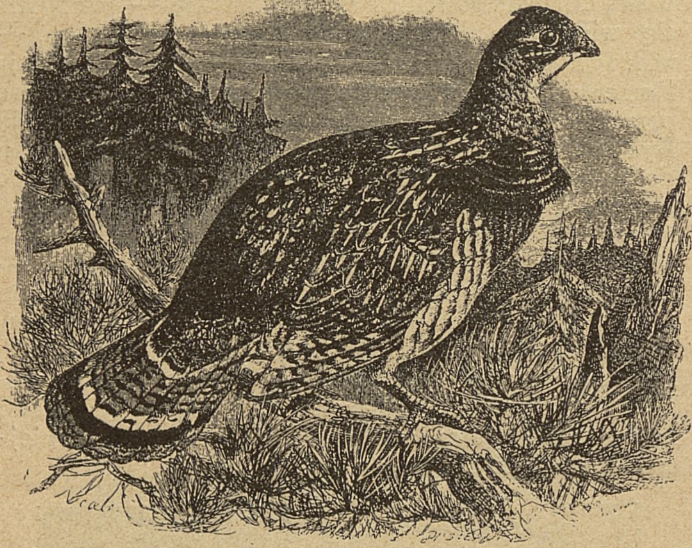
ADAM RZEWUSKI

PRZEGLĄD PTAKÓW KUROWATYCH

(Ciąg dalszy)

O ile podrząd równonogich w dwóch swoich rodzinach występuje tylko w Ameryce i Australji, o tyle podrząd nierównonogich *(Alecteropodes)* jest kosmopolityczny. Od pierwszego jest on bez porównania liczniejszy, obejmuje bowiem dwieście kilkanaście gatunków, zgrupowanych w około 80 rodzajach.

Przegląd ich zaczniemy od dobrze znanej wszystkim naszym myśliwym rodziny głuszcowatych *(Tetraonidae)*. Znanych tu jest 19 gatunków, które wytwarzają przeszło 100 podgatunków (ras geograficznych). Pod względem geograficznym rodzina ta ograniczona jest do Ameryki północnej, północnej i środkowej Azji, oraz Europy.



Jarząbek amerykański (Bonasa umbellus). Opis na str. 349

Cechy charakterystyczne przedstawicieli tej rodziny mają nasi myśliwi niewątpliwie dobrze w pamięci, nie będę ich tu więc wyszczególniał, przypomnę tylko, że nogi ich są gęsto opierzone, do górnej części skoku, lub nawet do palców włącznie. „Ostrogi" nie rozwijają się nigdy. Nozdrza pokryte są piórkami.

U nas, jak to powszechnie wiadomo, występują cztery gatunki tej rodziny, a mianowicie: głuszec *(Tetrao urogallus)*, cietrzew *(Lyrurus tetrix)*, jarząbek *(Tetrastes bonasia)* i pardwa *(Lagopus lagopus)*. Wszystkie te gatunki mają mniej lub więcej szerokie rozmieszczenie w Europie i Azji. Opisywać ich nie będę, wspomnę natomiast o bliskim krewniaku naszego cietrzewia, o cietrzewiu kaukaskim. Został on odkryty przez naszego rodaka i na jego cześć opisany przez Taczanowskiego pod nazwą *Teatrao młokosiewiczi*. Jest on od naszego cietrzewia mniejszy i smuklejszy, natomiast ma znacznie dłuższy ogon. Różni się też innemi szczegółami upierzenia. Jest to ptak wybitnie górski. Trzyma się stale w wysokich górach Kaukazu, powyżej 2000 metrów nad poziomem morza i tylko zimą zrzadka opuszcza się niżej. Ulubionemi miejscami jego pobytu są łąki alpejskie, te ich mianowicie części, które w dolnych swych granicach przylegają do zarośli rododendronowych, oddzielających je od brzegu lasów. Jeśli tu i owdzie w zaroślach tych występują brzozy, to tem pewniej trzymają się tam cietrzewie kaukaskie. Nigdy jednak nie zapuszczają się one w głąb lasu.

Przechodząc do pardw, nie można tu pominąć pardwy szkockiej, znanej naszym myśliwym pod angielską nazwą „grouse". Od swych najbliższych krewniaczek, prócz szczegółów upierzenia, pardwa ta różni się przedewszystkiem tem, że swej letniej szaty nie zmienia na zimową — białą. Pozostaje to naturalnie w związku z klimatem kraju, który zamieszkuje. Pardwa szkocka wykazuje, nawiasem mówiąc, ogromną zmienność indywidualną w ubarwieniu.

Przy okazji zaznaczyć tu należy, że nazwą Grouse mianują Anglicy wiele ptaków z rodziny *Tetraonidae*. Tak więc pardwa szkocka *(Lagopus scoticus)* to „Red-Grouse", nasza pardwa to „Willow-Grouse", cietrzew to „Black-Grouse", jarząbek — „Hazel-Grouse".

Jeśli już nie na miejscu w Ameryce, to przynajmniej w literaturze, wielu czytelników spotykało się z nazwą „Ptarmigan". Jest to gatunek pardwy, którego nazwa naukowa brzmi *Lagopus mutus*. Pardwa ta jest ptakiem, występującym w pasie tundry i to zarówno w Ameryce, jak i w Eurazji. Występuje ona zresztą w kierunku południowym i poza tundrami, ale tylko w górach, stąd też często bywa nazywana pardwą górską. Tak więc w Europie występuje ona w północnych częściach Wielkiej Brytanji, w Alpach, a nawet w Pirenejach. Na ogromnych przestrzeniach swej krainy rozmieszczenia pardwa ta wytwarza szereg form geograficznych (podgatunków). O ile chodzi o Europę, to Laponję, Norwegję północną i Szwecję północną zamieszkuje *Lagopus mutus mutus*, Rosję północną *Lagopus mutus rupestris* i *Lagopus mutus komensis*, Islandję *Lagopus mutus islandorum*, Szkocję *Lagopus mutus millaisi*, Alpy *Logopus mutus helveticus*, Pireneje *Lagopus mutus pyrenaicus*. Równie liczne podgatunki wytwarza ona w Azji i Ameryce.

Jeszcze i drugi gatunek pardwy Starego Świata, występuje w Ameryce północnej, podobnie jak w Eurazji, wytwarzając tam kilka form geograficznych. Jest to *Lagopus lagopus lagopus* (Norwegja, Szwecja, Finlandja), *Lagopus lagopus kapustini* (Laponja, wyspa Kołgujew, Rosja północno-wschodnia), *Lagopus lagopus major* (Rosja wschodnia), *Lagopus lagopus rossicus* (Rosja środkowa i zachodnia). Do tej ostatniej formy należą też prawdopodobnie i ptaki polskie, które wymagają jednak bliższego zbadania. Nasi myśliwi, polujący na pardwy, mają tu wdzięczne pole do przysłużenia się nauce. Za punkt honoru winni oni uważać zebranie kilkudziesięciu tych ptaków, z różnych pór roku, potrzebnych do ustalenia przynależności podgatunkowej pardwy polskiej. Ptaki zaraz po zabiciu najlepiej jest przesyłać do Państwowego Muzeum Zoologicznego (Warszawa, Wilcza 64), dołączając do każdego okazu kartkę z wyszczególnieniem miejsca zabicia, daty i nazwiska ofiarodawcy.

Tak więc z czterech naszych rodzajów *(Tetrao, Lyrurus, Tetrastes, Lagopus)* w Ameryce północnej reprezentowana jest tylko pardwa *(Lagopus)*. Wszystkie inne gatunki amerykańskie tej rodziny należą do rodzajów odrębnych: *Canachites, Bonasa, Podiocoetes*

Tympanuchus, Centrocercus. Z nich rodzaj *Canachites* zbliżony jest bardzo do wschodnio-azjatyckiego *Falcipennis*, którego rosyjska nazwa brzmi: dikusza. Dikusza jest ptakiem nieco mniejszym od cietrzewia; ubarwienie ma czarne, upstrzone plamkami szaremi, białemi i blado-ochrowemi. Różnica w ubarwieniu płci jest minimalna.

Dikusza zamieszkuje Syberję, począwszy od wschodnich części kraju Zabajkalskiego aż do wybrzeży morza Ochockiego, ujścia Amuru i Sachalinu.

Oto jak opisuje Middendorf swoje spotkanie z tym ptakiem: „Spotkawszy wiosną w paśmie Ałdańskiem po raz pierwszy tego ptaka, zastałem go tokującego na niewielkiej leśnej polance. Nie dalej niż 15 kroków odemnie rozkochany samiec przerabiał niesamowite sztuki: występując poważnie, jak indyk, rozpościerał on i włóczył po ziemi swój ogon, mrugał zalanemi krwią oczyma, klęskał dziobem i prychał. Nastąpiła pauza, w czasie której samce innych kuraków są w czasie toku bardzo ostrożne. Zeszedłszy z konia, szybko przedostałem się między drzewami, by mieć możność strzału zanim ptak skryje się w gąszczu. Lecz samiec patrzył na mnie spokojnie, dopuścił na kilka kroków zanim się zerwał.

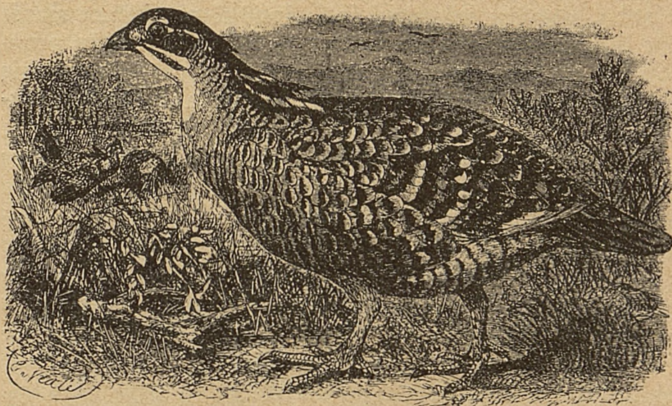
Latem na wybrzeżu morskiem straciłem z oczu tego ptaka i dopiero w sierpniu natknąłem się na stadko złożone z 8 sztuk, które wyleciało z krzewów, obrastających błotniską rzeczkę. W pierwszym porywie radości zastrzeliłem dwie sztuki w locie, ale później odłożyłem strzelbę na bok, odciąłem z paska rzemiennego, na którym wisiała torba myśliwska, cieniutki paseczek i przywiązałem go do pręta. Przy pomocy pętli ściągnąłem teraz z drzewa wszystkie pozostałe. Ale uważcie, że pierwsza uciekła mi dwa razy zanim udało mi się ją dostać do rąk. Rzemyczek był zbyt elastyczny: gdy ściągnięty z gałęzi ptak leżał na ziemi, pętla rozsuwała się i dikusza, szyja której dzięki temu uwalniała się, znowu wzlatywała na drzewo i nie chowała się tam specjalnie. Życie dikuszy jest naogół mało znane, według skąpych wiadomości, które posiadamy, są to, zdaje się, ptaki, żyjące w monogamji".

Wspomniany powyżej rodzaj *Canachites* reprezentowany jest w lasach Ameryki północnej przez dwa gatunki, występujące w Kanadzie i północnych stanach. Są one równie głupie jak dikusze: tuziemcy polują na nie przy pomocy pętli, któremi ściągają je z gałęzi. Bliskim rodzajowi *Canachites* jest rodzaj *Dendragapus* z trzema gatunkami rozmieszczonemi w lasach zachodu Ameryki północnej.

Eurazjatyckie jarząbki, jak to wiemy, zaliczane są do rodzaju *Tetrastes*. Rodzaj ten obejmuje dwa gatunki. Z nich *Tetrastes bonasia* ma bardzo szerokie rozmieszczenie w Europie i Azji północnej, drugi gatunek, odkryty i opisany przez naszego rodaka Przewalskiego, to jarząbek chiński *(Tetrastes sewertzowi)*, zamieszkujący Kansu, Kuku-Nor i Seczuan.

Jarząbek amerykański *(Bonasa umbellus)* był dawniej zaliczany do tego samego rodzaju, co i jarząbki eurazjatyckie, obecnie jednak powszechnie przyjęto wydzielanie go w osobny rodzaj. Z charakteru upierzenia przypomina on naszego jarząbka, jest jednak od niego ładniejszy, a to dzięki szerokiemu kołnierzowi z wydłużonych piór, który otacza dolną część jego szyi. Kołnierz ten u samca jest znacznie większy. Jarząbek ten zamieszkuje lasy (pas tundry) Ameryki północnej; w południowej części swej krainy rozmieszczenia występuje tylko w górach.

Sławne jest „bębnienie" tego ptaka, wydawane przezeń szczególnie usilnie w porze godowej. Nie jest ono równoznaczne z tokowaniem innych gatunków tej rodziny, gdyż po pierwsze jarząbek amerykański żyje w monogamji, po drugie zaś bębnienie jego daje się słyszeć w ciągu większej części roku. Niemniej jednak, gdy w miarę następującej wiosny słychać go w lesie coraz częściej, oznacza to niechybnie nastanie pory godowej tych ptaków. Przez dłuższy czas trwały spory: czy bębnienie jest to głos ptaka, czy też wydawane jest skrzydłami? Ostatecznie ustalono, jako pewnik to ostatnie.



Cietrzew łąkowy (Tympanuchus).

Według danych ornitologów amerykańskich *Bonasa umbellus* obiera najchętniej do swych koncertów jakiś zwalony pień drzewa na brzegu lasu, w pobliżu polany, czy też nawet drogi, ale zawsze w takiem miejscu, by podszycie leśne skrywało go dostatecznie przed oczyma niepożądanego intruza. W przygotowaniu do muzyki ptak wznosi pióra swego kołnierza, rozszerza wachlarzowato ogon i z opuszczonemi skrzydłami przechadza się po pniu tam i z powrotem. Następnie, zatrzymawszy się w pewnej chwili, wyprostowuje się mały dobosz leśny na cały swój niezbyt imponujący wzrost i zaczyna uderzać skrzydłami o boki ciała, początkowo wolno, potem coraz to prędzej, aż dźwięki zaczynają się zlewać w przeciągły werbel. Po 5—10 minutach odpoczynku następuje dalsza część koncertu, niczem nie różniąca się od pierwszej. Raz obrawszy sobie „estradę", ptak powraca już do niej stale. Z innych cech biologicznych, charakteryzujących tego jarząbka, należy podkreślić jego miłość macierzyńską, która nawet wśród słynnych z tego kuraków zyskała mu zasłużoną sławę.

Tak zwane cietrzewie łąkowe, zaliczane są do rodzaju *Tympanuchus*, obejmującego dwa gatunki w czterech podgatunkach. Z nich najczęściej słyszy się o *Tympanuchus cupido*, który zresztą obecnie posiada już bardzo ograniczone rozmieszczenie, głównie w stanie Massachusetts. Ptaki te są ubarwione pstrokato, podobnie nieco jak nasze cieciorki. Samce odznaczają się posiadaniem na szyi pęcherzy powietrznych (rezonatorów). U obu płci występują po bokach szyi pęczki wydłużonych piór, u samców pióra te są jednak dużo dłuższe.

Kapitan Bandayr w ten sposób opisuje tokowiska cietrzewi łąkowych: „Rankiem, na suchych pagórkach,

można obserwować je w skupieniach, liczących od 12 do 50 osobników. A zachowują się wówczas tak osobliwie, że poprostu pobudzają do śmiechu. Powietrzne worki samców służą oczywiście jako ozdoby, któremi kokietują one płeć piękną, wydymając je tak silnie, że wiszą po bokach szyi, jak dwie dojrzałe pomarańcze. Jednocześnie podnoszą one nakształt uszu pęczki piór, wyrastające im z górnej części szyi, stroszą pióra i pociągają skrzydłami po ziemi, podobnie jak to czynią indyki. Następnie, w uzupełnieniu tryumfu, dumny samiec całą siłą nóg kieruje się w środek rozkochanych samic, wydając tak doniosły okrzyk, że w spokojnem powietrzu poranku słychać go przynajmniej na dwie mile. Taki manewr powtarza się co kilka minut, ale narazie samce unikają spotkania z sobą, dopóty mianowicie, dopóki rozcietrzewienie nie doprowadzi ich do żądzy bójki. Gdy jest to przerabiane przez większą ilość ptaków, otrzymuje się wrażenie, że ptaki poruszają się w takt jakiejś muzyki".

Peodiocoets phasianellus, zwany popularnie kurą łąkową albo prerjową, zamieszkuje stepy Ameryki północnej, sięgając w kierunku południowym do Kalifornji południowej, Nowego Meksyku, Wiskonsin i Illinois. Wiosną ptak ten posuwa się daleko ku północy, sięgając niemal krainy arktycznej. Jest więc częściowo ptakiem przelotnym, lub ściślej mówiąc koczującym, co w każdym razie wśród rodziny *Tetraonidae* jest zjawiskiem wyjątkowem.

Najokazalszym z amerykańskich przedstawicieli tej rodziny jest *Centrocercus urophasianus*, zamieszkujący suche, porosłe niewielkiemi zaroślami równiny zachodnich Stanów Zjednoczonych. Od wszystkich przedstawicieli swej rodziny różni się on długim bażancim ogonem, złożonym z 20 sterówek, z których dwie środkowe są najdłuższe i na końcu zaostrzone. „Wczesnym rankiem, w początkach marca 1877 r. — pisze wspomniany powyżej amerykański ornitolog Bandayr, udało mi się nareszcie zaspokoić stare moje pragnienie zobaczenia jak samiec zaleca się do kilku zebranych koło niego samic... Jego wielkie bladożółte worki powietrzne były całkowicie wydęte i sterczały nietylko ku przodowi, ale i w górę, wystając przynajmniej na cal ponad głowę, dzięki czemu ta ostatnia była ledwo widoczna, co nadawało ptakowi osobliwy wygląd. Wyglądał on na zwycięzcę, gotowego odpowiedzieć na każde wyzwanie. Nieliczne długie, szczeciniaste pióra, osadzone koło worków powietrznych, sterczały na boki. Dominujące szare ubarwienie górnej części ciała tworzyło ostry kontrast do czarnego ubarwienia dolnej; ogon był rozwinięty wachlarzowato i od czasu do czasu drgał, skrzydła skrobały ziemię. W tej postaci ptak powoli przechadzał się tu i tam, krokiem dumnym, najwidoczniej zadowolony ze swego wyglądu, wydając jednocześnie niskie gardłowe tony, przypominające mruczenie kota. To najwidoczniej stanowi istotę zalotów, gdyż z wielu zalotników zostaje wybrany ten, który wyczynia to w sposób najlepszy".

Na tem kończę przegląd rodziny *Tetraonidae* i przechodzę do rodziny *Phasianidae*.

W przeciwstawieniu do głuszcowatych, bażantowate charakteryzują się nozdrzami odkrytemi (nie pokrytemi piórami). Skoki ich są nagie, wyjątkowo tylko (rodzaj Lerwa) w górnej części opierzone. U wielu gatunków na skokach rozwinięte są t. zw. „ostrogi". Palce mają nagie, pozbawione też na bokach owych płytek rogowych, charakterystycznych dla tych głuszcowatych, które mają palce nieopierzone.

Rodzina *Phasianidae* jest kosmopolityczna. Jest to najliczniejsza rodzina całego rzędu; obejmuje ona szereg gatunków tak pięknie ubarwionych, że mogą one uchodzić śmiało za jedne z najpiękniejszych ptaków wogóle.

Przegląd rozpocznę od rodzaju *Lerwa*, który ze względu na upierzenie skoku stanowi niejako przejście od *Tetraonidae* do *Phasianidae*. Należy tu jeden tylko gatunek — *Lerwa lerwa*, zamieszkujący Himalaje od zachodniego Kaszmiru i północno-zachodnich Indji aż po góry zachodniego Seczuanu, Mupin i Ta-Tsien-Lu w Chinach zachodnich. Wzorując się na rosyjskim, ptaka tego nazywam kuropatwą śnieżną. Jest to ptak wybitnie górski, przebywający latem na wysokości od 3000 do 5000 metrów nad p. m. Zimą schodzi nieco niżej w doliny. Wiosną trzyma się w parach, gnieżdżąc się w skałach; poza okresem gniazdowym skupia się w niewielkie stadka.

Kuropatwa śnieżna jest nieco większa od pardwy. Ubarwienie starego ptaka jest z wierzchu czarne z białemi, płowemi i rdzawemi pręgami, od spodu rdzawe. Dziób i nogi są koralowo czerwone.

Nie licząc bażantów, które są u nas sztucznie aklimatyzowanymi intruzami, do naszej fauny rodzimej należą tylko dwa gatunki tej rodziny: przepiórka *(Coturnix coturnix)* i kuropatwa *(Perdix perdix)*. Nasza kuropatwa ma bardzo szerokie rozmieszczenie w Europie i Azji; wytwarza ona na tych przestrzeniach szereg form geograficznych. Prócz niej do tegoż rodzaju należą dwa inne gatunki: *Perdix barbata* ze środkowej i wschodniej Azji oraz *Perdix hodgsoniae*, zamieszkująca Tybet i część Mongolji.

Rodzaj kuropatw skalnych *(Alectoris*, dawniej *Caccabis)* składa się z czterech gatunków, wytwarzających przeszło trzydzieści podgatunków. Wszystkie one są do siebie bardzo podobne. Dla przykładu opiszemy tu kuropatwę skalną kaukazką. *(Alectoris kakelik caucasica)*. Jest ona nieco większa od naszej kuropatwy szarej. Dominującą barwą jej wierzchu ciała jest niebiesko-szara z brunatno-czerwonawym nalotem, wyrażonym silniej na głowie, górnej części pleców i barkówkach. Podobnej barwy są też i środkowe sterówki, podczas gdy pozostałe są rdzawo-brunatne. Kantarek i gardziel są biało ochrowe, obwiedzione czarnym szlakiem, który poprzez oczy zachodzi na czoło. Wole i górna część piersi szaro-niebieskawe, pozostała część spodu ciała rdzawa. Boki ciała poprzecznie ciemno pręgowane. Nogi i dziób czerwone.

Kuropatwa skalna kaukazka jest typowym ptakiem górskim, gnieżdżącym się latem do 5000 metrów nad p. m., zimą jednak opuszcza się w niższe góry. Ulubionemi miejscami jej pobytu są głębokie skaliste szczeliny i żleby, porośnięte drobnemi krzewami i trawą, oraz zupełnie nagie, skaliste zbocza gór. Unika ona nietylko lasów, ale nawet wysokiej trawy. Niekiedy jednak można ją spotkać pod jakimś krzaczkiem, na samym skraju lasu. Jest ona znakomitym piechurem: — spłoszona biega sprawnie i szybko, z lekko uniesionemi skrzydłami, przefruwając nad przeszkadzającemi jej w drodze kamieniami i szczelinami. W ostateczności porywa się do lotu. Poza okresem gniazdowania, w którym żyje w parach, zbija się w stadka,

liczące od kilku do czterdziestu sztuk, jest więc pod tym względem podobna do naszej kuropatwy. Jest jednak od niej bez porównania ruchliwsza i krzykliwsza, co powoduje iż w miejscach, które zamieszkuje, wydaje się daleko liczniejsza, niż jest istotnie. Gatunek ten zamieszkuje wiele krajów Azji, gdzie wytwarza liczne podgatunki. Tak więc *Alectoris kakelik kakelik* zamieszkuje Turkiestan rosyjski, *Alectoris kakelik fallax* — Tian-Szań i t. d.

Bliskim temu gatunkowi jest *Alectoris barbara*, zamieszkujący północną Afrykę i wyspy Kanaryjskie. Wytwarza on również szereg form geograficznych.

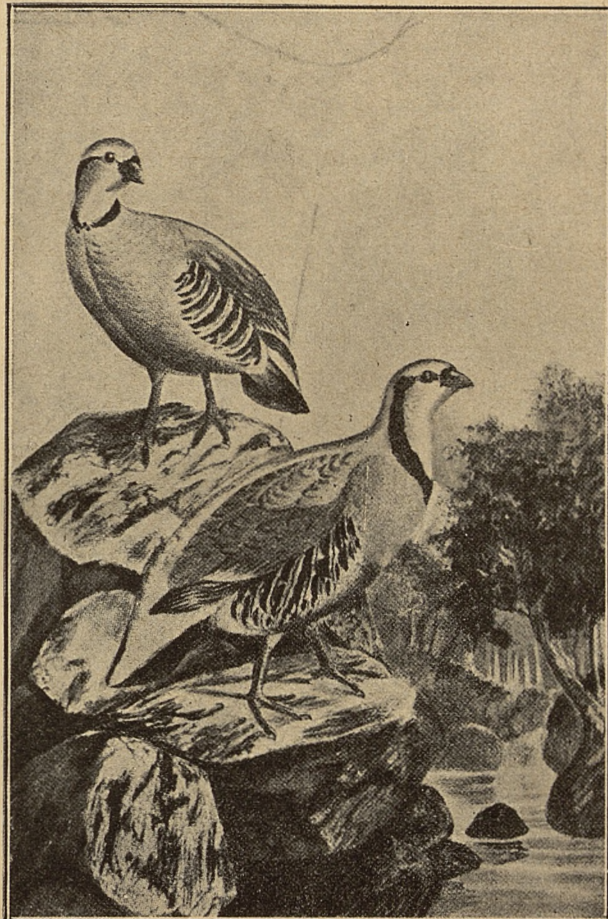
Góry południowej Europy zamieszkuje *Alectoris graeca*, tworząca również liczne podgatunki, *Alectoris graeca graeca* zamieszkuje półwysep Apeniński i część półwyspu Bałkańskiego, *Alectoris graeca saxatilis* — Pireneje, południowo-wschodnią Francję, północne Włochy, Szwajcarję, Styrję, Tyrol, Kroację i Rumunję, *Alectoris graeca kleini* — Bułgarję, Turcję, północno-wschodnią Grecję. Tu zauważyć należy, że *Alectoris graeca* należy do fauny polskiej, mianowicie swego czasu jeden okaz jej był złapany pod Krakowem. Trudno jednak powiedzieć czy był to ptak dziki, wyjątkowo zabłąkany, czy też osobnik, który uciekł z niewoli. Jeden jeszcze gatunek tego rodzaju występuje w Europie. Jest nim *Alectoris rufa* z podgatunkami. *Alectoris rufa rufa* zamieszkuje środkową i południową Francję (również i Anglję, gdzie został aklimatyzowany w latach siedemdziesiątych 18-go wieku), Szwajcarję i Italję północną, *Alectoris rufa hispanica* — półwysep Pirenejski, *Alectoris rufa laubmanni* — Baleary, *Alectoris rufa corsa* — Korsykę. Gatunek ten tem się różni od swych najbliższych krewniaków, że trzyma się nietylko w górach, ale i na równinach. Pod względem trybu życia przypomina naogół naszą zwykłą kuropatwę.

Do rodzajów *Perdix i Alectoris* zbliżone są: *Rhizothera* (półwysep Malajski, Sumatra, Borneo) *Margaroperdix* (Madagaskar), *Melanoperdix* (półwysep Malajski, Sumatra, Borneo) i kilka innych. Z drugiej strony najbliższymi krewniakami kuropatw skalnych są rodzaje *Tetraogallus i Francolinus*. Gatunkowi *Tetraogallus caucasicus* nadaje Tyzenhauz polską nazwę „kuropatwa olbrzymia". Nazwy tej nie uważam za szczęśliwą, jak również nazwy rosyjskiej, która w polskiem tłomaczeniu brzmi „indyk górski". Tę ostatnią nazwę cytuję dlatego, że myśliwi nasi często mogą się z nią spotkać w literaturze myśliwskiej rosyjskiej. Inna nazwa rosyjska rodzaju *Tetraogallus* brzmi „ułar" i tej też będę tu używał, jako równie dobrze brzmiącej w języku polskim.

Ułary z budowy ciała przypominają kuropatwy, są jednak od nich bez porównania większe — mniej więcej są tej wielkości co indyk lub głuszec. Wszystkie są gatunkami górskiemi, zamieszkującemi Azję. Ze względu na duże znaczenie myśliwskie ułarów, przytoczę tu szczegółowy opis jednego z nich, według znakomitego ornitologa Menzbira:

„Ułar trzyma się wzdłuż całego głównego grzbietu kaukazkiego i jego odgałęzień, ale tylko tam, gdzie są wieczne śniegi. W wysokich skalistych górach, w których latem brak śniegu, ptaki te nie występują. W dolnej części pasa łąk alpejskich, pokrytych wysoką trawą, środowisku typowem dla cietrzewia kaukazkiego, brak ułarów zupełnie, spotykają się one tylko w górnych częściach tego pasa, porośniętych drobną przyziemną trawką.

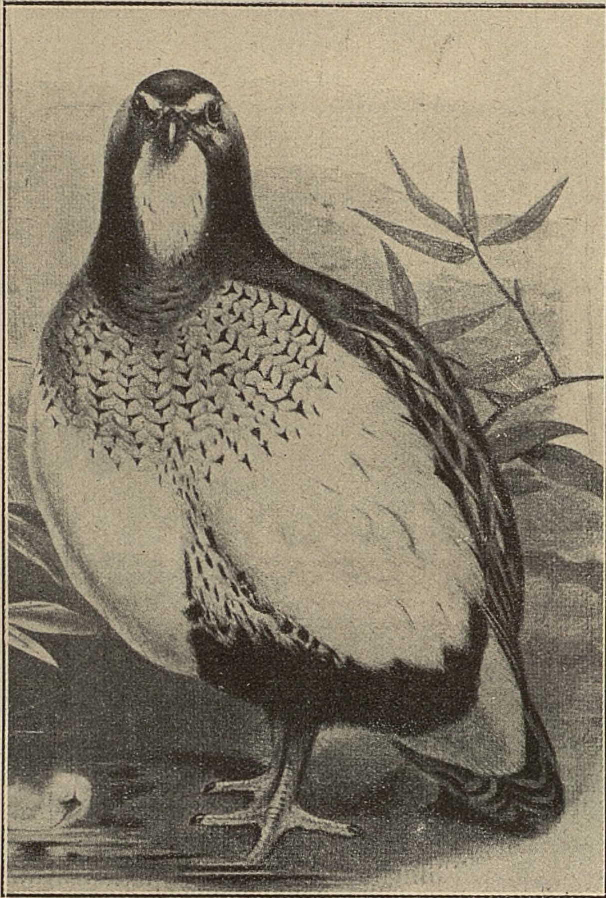
Ułar żyje w takich dzikich i mało dostępnych miejscach, że jest on dobrze znany tylko myśliwym, polującym na koziorożce, żyjące razem z nim. Ulubionemi miejscami jego pobytu są spadziste skłony górskie w pobliżu wiecznych śniegów, z upłazami porośniętemi trawiastą rośliną *Potentilla*, którą głównie żywią się koziorożce i ułary. Opisywany ptak trzyma się parami, ale zwykle kilka par trzyma się w pobliżu siebie. Zauważywszy niebezpieczeństwo, ułar ostrzega swoich sąsiadów donośnym gwizdem i krzykiem „tirek, tirek, tirek", poczem wszystkie ptaki odlatują. Lot ich szybki i prosty przypomina lot strepeta.



Kuropatwa górska (Alectoris graeca).

Najchętniej leci ułar w kierunku lodowca; przed opadnięciem na ziemię odwraca się wielokrotnie w jedną i drugą stronę. Biega ułar znakomicie nawet po śniegu i z zadziwiającą zręcznością kryje się między odłamkami skał. W kwietniu samica zaczyna się nieść. Brak nam dokładnych wiadomości o życiu ułarów w okresie gniazdowania, ale według opowiadań myśliwych samica zakłada gniazdo pod występem kamienia. Tu z suchych traw alpejskich robi brzeg gniazda i wewnątrz tak otoczonej przestrzeni niesie jaja. Mówią, że liczba ich dochodzi do 20; Radde spotkał ląg, złożony z 15 piskląt. W czerwcu spotyka się lęgi, strzeżone przez rodziców. Samiec zajmuje bardziej wartownicze stanowisko, samica przyjmuje żywy udział w ochronie piskląt. Zauważywszy niebezpie-

czeństwo, stare i młode przywarowują i leżą tak wytrzymale, że niemal pozwalają się nadeptać; ale następnie z niezwykłą szybkością i hałasem, właściwym wszystkim kuropatwom, rozlatują się w różnych kierunkach. Najwidoczniej rodzice zdają sobie sprawę z tego, że pochowane wśród odłamków skalnych młode są zupełnie bezpieczne, dlatego, że odlatują daleko od lęgu i powracają doń dopiero wówczas, gdy się przekonają, że niebezpieczeństwo minęło. Wówczas samica daje o tem znać dzieciom gwizdnięciem i ląg znowu skupia się. Mówią, że na zimę ułary zbierają zapasy pączków *Potentilla* i inne rośliny, które składają pod ochroną występów skalnych. Ułar żyje na wysokości od 7 do 16 tysięcy stóp. Zimą z górnego pasa alpejskiego spuszcza się w dolny, ale nie bywa nigdy nawet w średnim pasie gór.



Ułar ałtajski (Tetraogallus altaicus).

Naogół ułar jest ptakiem nadzwyczaj ostrożnym i upolować go nie jest łatwo. Zauważywszy zdala myśliwego, ułary zawsze biegną w górę, na grań. Prześladowane nie dopuszczają bliżej niż na 100—200 kroków i osiągnąwszy grań ulatują w dół i kryją się w jakiejś niedostępnej szczelinie skalnej.

Żerują rankami i wieczorami. Gdy tylko zaczerwienią się śniegi na najwyższych szczytach, zewsząd dochodzą głośne, różnorodne krzyki ułarów. Tak krzyczą one przez czas pewien, a potem zlatują w dół na trawiaste upłazki, lub na miejsca, gdzie leży dużo ziarn białego kwarcu. Żerując ułary stopniowo wspinają się do góry i na godzinę 8—9 są znowu wśród nagich skał.

W czasie gorącej pory dnia ułar nie krzyczy nigdy, a odpoczywa lub kąpie się w piasku pod występem skały, względnie po cienistej stronie żlebu. Miejscowi myśliwi mówią: „w dzień szukaj koziorożca tam, gdzie siedzi ułar". I jest to zupełnie słuszne.

Wieczorem ułary znowu wyruszają na żer po zachodzie słońca i przedtem znowu słychać ich niemilknące okrzyki".

Barwa upierzenia ułara kaukazkiego jest dość skomplikowana. Górna strona głowy, tylna strona szyi i duża plama z każdej strony głowy, opuszczająca się w dół po bokach szyi, są barwy niebieskawo-szarej. Gardziel, przednia strona szyi i pas, zaczynający się od oka i idący wzdłuż szyi między szarą stroną tylną i szarym pasem bocznym, są białe. Pozostała część górnej strony ciała jest czarniawo-szara z drobnem, falistem, ochrowem, poprzecznem upstrzeniem i prócz tego, wyjąwszy dolną część szyi i górną część pleców, z wielkiemi ochrowemi i rdzawemi plamami. Lotki pierwszego rzędu białe z czarnemi końcami, lotki drugiego rzędu ubarwione podobnie jak grzbiet, ale z białemi nasadami. Sterówki środkowe czarne z ochrowo-białemi poprzecznemi upstrzeniami, pozostałe czarne z rdzawemi końcami. Wole i pierś białawo-ochrowe z gęstem poprzecznem czarnem upstrzeniem. Pozostała część spodu ciała szyfrowo-szara z ochrowem upstrzeniem i na bokach ciała z rdzawemi i czarnemi pasmami. Pokrywy podogonowe białe. Nogi żółto-pomarańczowe, dziób rogowo-żółty, ciemniejący ku końcowi. Nagi pierścień dokoła oka i pewna naga przestrzeń za okiem — żółte. Samica podobna jest do samca, ma jednak barwy nie tak czyste i wyraziste. Starego samca łatwo jest rozpoznać po dużych ostrogach.

Bliskim poprzedniemu jest *Tetraogallus caspius* z podgatunkami. Z nich *Tetraogallus caspius caspius* zamieszkuje góry południowego wybrzeża morza Kaspijskiego, *Tetraogallus caspius tauricus* — góry Taurus w południowej części Azji Mniejszej, skąd sięga na wschód po Kaukaz. *Tetraogallus caspius semenowtianschanskii* został opisany z południowo-zachodniej Persji.

Tetraogallus himalayensis zamieszkuje część Himalajów, Pamir, Turkiestan, *Tetraogallus himalayensis koslowi* — góry Altyn-Tag, Humboldta i Kuku-Nor, *Tetraogallus grombczewskii* został opisany przez rosyjskiego ornitologa Bianchi na cześć naszego podróżnika generała Grąbczewskiego, który go odkrył w górach Kweń-Luń.

Prócz powyższych do rodzaju tego należą jeszcze: *Tetraogallus tibetanus i Tetraogallus altaicus,* oba z podgatunkami.

W środkowym i wschodnim Tybecie żyją ptaki bardzo blisko spokrewnione z rodzajem *Tetraogallus*, są to: *Tetraophasis obscurus i Tetraophasis szechenyi.*

Wybitnie afrykańskim jest rodzaj *Francolinus.* Jest on właściwy Afryce podzwrotnikowej, reprezentowany jest jednak również w Afryce południowej i północnej, skąd przeniknął do południowej Europy (obecnie już na wyginięciu) i do Azji bardzo daleko na wschód. Frankoliny, zwane też z rosyjska turaczami, są to ptaki nieco większe od kuropatwy, jednak ubarwione bez porównania piękniej; u większości gatunków rożnice w ubarwieniu płci są bardzo nieznaczne. Rodzaj ten jest bardzo liczny; składa się on z trzy-

dziestu kilku gatunków, wytwarzających łącznie sto kilkanaście podgatunków. Tu zatrzymamy się tylko na gatunku *Francolinus francolinus*. Stary samiec tego gatunku ma wierzch głowy i potylicę żółto-brunatne z czarniawemi środkami piór. Policzki poniżej oczu i część karku białawe z czarnemi strychami; pozostała część policzków, gardziel, przód szyi, wole i pierś czarne. Dokoła szyi niezbyt szeroka brunatno-rdzawa przepaska. Płaszcz czarniawo-brunatny biało upstrzony. Kuper i pokrywy ogonowe czarne z poprzecznem białem pręgowaniem. Boki ciała czarne z białemi plamami, pozostała część spodu ciała rdzawo-brunatna z płowo-białemi zakończeniami piór. Pokrywy podogonowe czarne brunatno i biało pręgowane. Lotki ciemno-brunatne z szerokiemi, jasnemi, ochrowemi poprzecznemi prążkami. Dziób czarny, nogi pomarańczowo-czerwone. Samica różni się od samca szczególnie ubarwieniem spodu ciała, gdzie brak jej barwy czarnej, nie posiada też brunatno-rdzawej przepaski dokoła szyi, zamiast której ma tylko rdzawe plamki.

Ulubionemi miejscami pobytu frankolina są gęste krzaki nadbrzeżne; spotyka się go zresztą i w oddaleniu od wody, ale zawsze w równinach. W krzakach tych daleko łatwiej jest go usłyszeć niż zobaczyć. Nawet przy pomocy psa nie udaje się myśliwemu zbyt łatwo wyprzeć go stamtąd. Wycieka on uporczywie i tylko w ostateczności szuka ucieczki przy pomocy skrzydeł. Wzlatuje wówczas, jak bażant, wprost do góry, poczem dopiero ciągnie nad zaroślami i przeleciawszy niewielką przestrzeń znów zapada.

Z kilku form geograficznych tego gatunku *Francolinus francolinus* zamieszkuje Azję Mniejszą, Syrję, Palestynę, górny Eufrat, Persję północną i Kraj Zakaspijski. W literaturze istnieją dane o występowaniu tego ptaka w Europie południowej, a to mianowicie na trzech jej wielkich półwyspach. Sądząc z tych danych, frankolin jest tam jednak na wyginięciu, z drugiej znów strony wiadomo, że był on w dawniejszych czasach we wspomnianych krajach aklimatyzowany. W każdym razie autochtoniczność frankolina w Europie należy postawić pod znakiem zapytania.

Między rodzajami *Alectoris i Francolinus* należy postawić rodzaj *Ammoperdix* z dwoma gatunkami, zamieszkującemi północno-zachodnią Afrykę i zachodnią Azję aż po Indje. Są to ptaki charaterystyczne dla gliniastych i piasczystych pustyń, a upierzenie ich barwą swą przystosowane jest do kolorytu tych pustyń. Pod względem wielkości stoją między kuropatwą i przepiórką.

(c. d. n.) WITOLD CZAPLIŃSKI

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. P. MIECZYSŁAW TUKAŁŁO

Zmarł działacz łowiecki i świetny myśliwy, którego pamięci należy się coś więcej, niż lakoniczna wzmianka w rubryce nekrologów.

Ś. p. Mieczysław Tukałło zabrał się do pracy ideowo-łowieckiej w czasie najmniej wdzięcznym i na terenie nad wyraz trudnym. Zabrał się do pracy w czasie, gdy nie było jeszcze Polskiego Związku Łowieckiego z jego autorytetem nazwisk zapisanych chlubnie w dziejach kultury łowieckiej, gdy odrodzona prasa łowiecka dopiero ząbkowała, gdy nie było ustawy łowieckiej, gdy działacz łowiecki miał za swą pracę w nagrodę nie „Złomy" Medale i zaszczyty, lecz uśmieszki politowania i wzruszenia ramion. Zabrał się do pracy na wschodniej rubieży naszego państwa zaraz po wojnie, gdy na tej rubieży wojna właściwie się nie skończyła: hulały bandy dywersyjne, hulały bandy miejscowych rzezimieszków, nikt nie miał pewności życia i całości mienia. I właśnie w tym czasie i właśnie na tym terenie ś. p. Tukałło rozpoczął walkę z kłusownictwem, zapoczątkował hodowlę zwierzyny, rzucił w środowisko ówczesnej "braci myśliwskiej", zdemoralizowanej przez zdziczenie wojenne i ciężkie warunki bytu w okresie bezpośrednio powojennym — hasła etyki myśliwskiej.

Był typowym pionjerem. Jego syzyfowe prace pionjerskie, prace nad przeorywaniem nietkniętego kulturą gruntu były bezsprzecznie największemi jego zasługami.

Pozatem był świetnym myśliwym hodowcą. W swym majątku Boracinie koło Nowogródka postawił hodowlę zwierzyny na poziomie niezrównanym. Nie wahał się też stosować ciekawe eksperymenty hodowlane, jak np. hodowlę dzikich kaczek na swojsko, opisaną przez siebie w „Kalendarzu Myśliwskim" na r. 1938. W dziedzinie ochrony i hodowli zwierzyny był niewyczerpaną skarbnicą projektów (np. projekt ochrony i hodowli bobra, projekty propagandowe itp.).

Jako świetny i wytrwany myśliwy, znał doskonale naturę i obyczaje dzikiego zwierza. I „Łowiec Polski" i wileńskie „Trąbki myśliwskie" zamieszczały nader ciekawe artykuły fachowe jego pióra z dziedziny biologji zwierzyny.

W dziedzinie życia organizacyjnego (związkowego) był do końca nader ruchliwym działaczem. Był jednym z pierwszych, jeżeli nie pierwszym — delegatem (łowczym) Związku na swój rodzinny powiat nowogródzki. Mandat ten zachował do końca życia, piastując zresztą ostatnio również funkcje członka Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Wilnie. Z ramienia tej Rady był zarazem jej delegatem na całe województwo nowogródzkie, rozwijając energicznie działalność propagandowo-organizacyjną wespół z ówczesnym wiceprezesem, a obecnie prezesem Oddziału Wileńskiego — hr. Benedyktem Tyszkiewiczem.

Osobną, nader piękną kartę życia łowieckiego ś. p. Tukałły stanowi jego praca w Poleskiem Towarzystwie Myśliwskiem. Zobrazowanie zasług Jego w tej pracy powinno, zdaniem mojem, stanowić przedmiot osobnego wspomnienia. Sądzę, że któryś z członków tego Towarzystwa, który był bliski pracy Zmarłego na tym odcinku, zajmie się opracowaniem tego rodzaju wspomnienia.

Ś. p. Tukałło był pionjerem i miał też wszystkie cechy prawdziwego pionjera: posuniętą do fanatyzmu wytrwałość poczynań oraz twardość charakteru, graniczącą z pewną zawziętością. Nie należał do rzędu „dyplomatów" sprawy społecznej, którzy dla świętego spokoju zgadzają się bez walki na kompromisowe, połowiczne załatwienie sprawy. Gdy był przekonany

o słuszności swego stanowiska, bronił je, bez względu na to, że się mógł komuś „narazić". To też w naszych kołach, kółkach i kółeczkach społecznych (jakże często spoczywających na laurach, w kadzidle wzajemnej adoracji!) nie wszędzie miał mir i nie wszędzie miał życzliwych, nawet wśród ludzi owianych tą samą co on ideą. Ciężką więc, bardzo ciężką miał atmosferę pracy! Nie był to pochód od zaszczytu do zaszczytu, wśród szmeru pochwał i ogólnego aplauzu, lecz niewdzięczne, targające nerwy, wyczerpujące wspinanie się po ścieżce kamienistej...

A tą atmosferę pracy zatruwały nadto kłopoty materjalne oraz — postępująca wciąż szybciej, od kilku lat nieuleczalna choroba serca. Choroba ta sprawiała, że coraz częściej musiał sobie odmawiać różnych sposobów łowów. Już jakieś półtora roku przed śmiercią mógł marzyć tylko o niefatygujących polowaniach zbiorowych z laseczką i krzesełkiem. A rok temu spacer miejski po równym chodniku od hotelu do kawiarni był dlań trudnym i niebezpiecznym wysiłkiem. Została mu już wreszcie tylko energja ducha, którą wkładał w pracę ideową, a i w tej dziedzinie miał tylu niechętnych!

Niechże więc naprawdę — nie w imię banalnego frazesu — św. Hubert przyjmie tego swego rycerza dobrotliwie i przychylnie, niech mu wynagrodzi te długie lata ziemskich trudów i goryczy!

M. K. P.

Złoty Medal Mistrza Świata dla Kiszkurny

W Nr. 7 „Łowca Polskiego" z r. b. drukowaliśmy sprawozdanie Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego P. Z. Ł. z Walnego Zgromadzenia Międzynarodowej Federacji Strzelectwa Myśliwskiego, na które delegatem Polski był Dyr. Janusz Regulski, przewodniczący Kom. Gł. Strzel. Myśl. P. Z. Ł.

Ze sprawozdania tego dowiedzieliśmy się — prócz wiadomości o postanowieniu odbycia rozgrywek o tegoroczne Mistrzostwo Świata w strzelaniu do rzutków w Berlinie (13 — 19 sierpnia r. b.) — że z głosem polskim liczyło się poważnie Walne Zgromadzenie Federacji, skoro wszystkie trzy polskie wnioski, dotyczące pewnych zmian programowych, regulaminowych i wreszcie technicznych, w urządzaniu Mistrzostw Świata, zostały przyjęte jednogłośnie. Wnioski te były postawione w imię zwiększenia czynnika sprawiedliwości, a usunięcia w znaczniejszej mierze wszelkiej przypadkowości w przyszłych zawodach międzynarodowych.

Następnie dowiedzieliśmy się jeszcze, iż Dyr. J. Regulskiemu został wręczony Złoty Medal Mistrza Świata od M. F. S. M., zdobyty w r. 1936 w Berlinie przez p. J. Kiszkurnę.

Pamiętamy ten jego sukces, osiągnięty zresztą w karjerze tego klasowego strzelca standowego powtórnie (1930), lecz w znacznie trudniejszych tym razem warunkach i w cięższej konkurencji. Pamiętamy, jak witaliśmy go powracającego z Berlina, jako zwycięzcę, prowadzonego z Dworca Głównego z orkiestrą, wśród okrzyków tłumów warszawian, którzy już wiedzieli z pism codziennych o tym nowym polskim sukcesie sportowym. Oglądaliśmy wtedy te wszystkie piękne nagrody honorowe, które w Berlinie zdobył, Związek wówczas nadał p. Kiszkurnie Złoty Medal Zasługi Łowieckiej, a dopiero niedawno wręczono Mistrzowi Świata Złoty Medal M. F. S. M.

Wręczenie to miało miejsce w dniu 14 maja r. b. z okazji posiedzenia Naczelnej Rady Łowieckiej, w obecności 29 przybyłych na posiedzenie członków Rady. Okolicznościowe przemówienie z tej okazji wygłosił Dyr. J. Regulski, jako przewodniczący Kom. Gł. Strzel. Przemówienie to cytujemy w całości.

„Panie Prezesie, Panowie!

Jako przewodniczący Komisji Głównej Strzel. Myśl. z prawdziwą satysfakcją pozwalam sobie podać do wiadomości Naczelnej Rady, że w dziedzinie strzelectwa myśliwskiego, któremu patronuje Polski Związek Łowiecki, Polska osiągnęła w ostatnich latach sukcesy, dzięki którym w tym sporcie zajęła naczelne miejsce wśród narodów Europy.

Stało się to wyłącznie dzięki ofiarnej pracy i zamiłowaniu małej grupki propagatorów tego sportu, w myśl hasła: — Polska jest narodem myśliwych, a więc powinna być i narodem strzelców.

Na czele tej małej grupki fanatyków tego sportu znalazło się 5 strzelców polskich, których długoletnia, wytrwała praca i talent przyniosły tak wielkie sukcesy sportowi polskiemu, a im największą nagrodę i satysfakcję, gdyż dane im było rozsławić w tej dziedzinie imię Polski.

Pan Kiszkurno w r. 1936 zdobył indywidualnie Mistrzostwo Świata, bijąc na Olimpiadzie w Berlinie całą plejadę najznakomitszych strzelców świata. W roku 1938 ten indywidualny sukces przerodził się w zwycięstwo zbiorowe, gdyż reprezentacja Polski w składzie pp.: Kiszkurno, Łyskowski, mjr. Sztukowski i Ziegenhirte w Luhacovicach w Czechosłowacji zdobyła Mistrzostwo Świata, pozostawiając poza sobą takie potęgi strzeleckie, jak Czechy, Węgry i szereg innych państw.

Sukces ten jest tembardziej znamienny, że osiągnięty został na cudzym, nieznanym terenie, wyrażając się w 92% trafionych rzutków, podczas kiedy gospodarze Czesi osiągnęli 88%, a Węgrzy 85%. Pozatem w czołowej piątce znalazło się 3 Polaków.

Sprawozdanie moje nie byłoby kompletne, gdybym nie podkreślił olbrzymich zasług w tej dziedzinie nestora strzelectwa myśliwskiego, p. bar. Rosenwertha, który niósł na sobie podwójny trud, gdyż nietylko kapitanował naszym drużynom i kierował ich walką, ale równocześnie sam walczył z pełnym sukcesem, osiągając rezultat, który również zapewniał naszej reprezentacji Mistrzostwo Świata i jeśli nie znalazł się w drużynie zwycięskiej, to tylko dlatego, że przez niezwykłą skromność sam siebie wyznaczył do drugiej drużyny.

Na Walnem Zgromadzeniu Międzyn. Federacji Strzel. Myśl. w lutym tego roku w Paryżu, gdzie miałem zaszczyt reprezentować Polskę, Prezes Federacji złożył gorące życzenia Polsce z tytułu obu tych sukcesów oraz wręczył mi Złoty Medal Federacji dla Mistrza Świata, p. Kiszkurno, który mam zaszczyt złożyć na ręce Pana Prezesa z prośbą o wręczenie go p. Kiszkurnie".

Pan Prezes Gen. Sosnkowski zwrócił się do odznaczonego ze słowami podzięki i uznania w imieniu Polskiego Związku Łowieckiego i wręczył p. Kiszkurnie Złoty Medal Mistrza Świata z życzeniami dalszych sukcesów na forum międzynarodowem. Następnie, zwracając się raz jeszcze do p. Kiszkurny, a jednocześnie do obecnego także mjr. Stefana Sztukowskiego — obu uczestników zwycięskiej ekipy w Mistrzostwie Świata zespołowem, w Luhacovicach w r. 1938 — złożył im gratulacje i podobne życzenia, prosząc o zakomunikowanie tych słów pozostałym uczestnikom ekipy mistrzowskiej pp. Konstantemu Łyskowskiemu i Wilhelmowi i Ziegenhirtemu, którzy na tę uroczystość przybyć nie mogli.

Wł. Z.



Pod tytułem *„Das Niederjagd-Revier"* ukazała się niedawno ciekawa praca Hans'a Kuhlmann'a wydana przez firmę Paul Parey w Berlinie. Książka ta, jak opiewa dopisek do tytułu, ma służyć jako podręcznik dla hodowców zwierzyny drobnej, a więc zajęcy, bażantów, kuropatw i t. d. Oprócz tego autor przykładowo wykazuje, jak wielkie korzyści przynosi gospodarce krajowej planowa ochrona i racjonalny odstrzał zwierzyny wogóle, a drobnej w szczególności.

Nowa ustawa łowiecka Rzeszy jest granicą, której trzyma się autor, poddając pozytywnej krytyce inne prace, poruszające ten sam temat.

Praca ta podzielona została na 12 rozdziałów, w których autor omawia w pierwszym rzędzie wszystkie ważniejsze gatunki zwierzyny łownej, a następnie przechodzi do walki z kłusownictwem i wnykarstwem, przytaczając wiele wskazówek w tym względzie i wreszcie kończy ją małą rozprawką poświęconą psu myśliwskiemu.

W pierwszym rozdziale p. t.: „Zwierzyna drobna" przedewszystkiem przestrzega autor hodowców przed bagatelizowaniem tych gatunków zwierzyny z punktu widzenia korzyści czysto gospodarczych. Sumy, jakie osiągnięto ze sprzedaży drobnej zwierzyny, wynoszą kilkadziesiąt milionów marek niemieckich; są więc poważną pozycją w gospodarce krajowej Intensywna gospodarka rolna bynajmniej nie jest przeszkodą, zdaniem autora, w hodowli zwierzyny łownej, a raczej przyczynia się do podniesienia liczebności zwierzyny. Szkodliwemi są dla zwierzyny łownej tylko stosowane w rolnictwie nawozy sztuczne. Jest to jeden z najważniejszych zarzutów, jakie stawia autor w stosunku do rolnictwa. Zarzut ten jest o tyle poważny, że w rozwoju rolnictwa nawozy sztuczne odgrywają obecnie dominującą rolę i trudno jest, aby przeciętny rolnik, dla dobra swojej niejednokrotnie nielicznej zwierzyny łownej, miał zaniedbać ich stosowania w uprawie ziemi. Niemniej jednak autor wyraża przekonanie, że w większych gospodarstwach rolnych, gdzie łowiectwo stanowi jedną z głównych jego gałęzi, da się uniknąć stosowania nawozów sztucznych, zwłaszcza gdy zostaną przeprowadzone w tej dziedzinie badania i odpowiednie doświadczenia naukowe i gdy szkodliwość nawozów sztucznych, stwierdzona przez naukę, znajdzie zrozumienie u myśliwych-hodowców.

Najbardziej miarodajnym czynnikiem dla rozmnoży zwierzyny łownej są bądź co bądź warunki klimatyczne. Dla przykładu przytacza, że podczas lat mokrych stan zwierzyny będzie gorszy na obszarach kultywowanych, natomiast w normalnych warunkach klimatycznych na tychże polach liczebność zwierzyny szybko wzrasta.

Rozdział „Sarny" ma jako motto, które zresztą należałoby umieścić na pierwszej stronicy tego dziełka, przysłowia: „Kto sieje, ten zbiera", „Kto chce korzystać ze zwierzyny, powinien jej stworzyć odpowiednie warunki bytu" i t. p. Szczególną uwagę zwraca w tym rozdziale autor na znaczenie żerowisk dla zwierzyny; przytacza technikę uprawy pólek i skutki, jakie zyskuje hodowca, zapobiegając w ten sposób przenoszeniu się zwierzyny na obszary sąsiednie, bogatsze w żywność. Nie należy również zaniedbywać łąk leśnych. I tutaj nie ogranicza się autor do stwierdzenia tej konieczności, lecz przytacza wiele sposobów osuszania łąk kwaśnych, wyszczególnia pożyteczne dla zwierzyny gatunki traw, sposób ich uprawy i t. p. Niemniej ważne jest dokarmianie zwierzyny zimą. Radzi on poczynić odpowiednie przygotowania jeszcze w lecie, a dokarmianie rozpocząć wczesną jesienią, żeby zwierzynę stopniowo przyzwyczaić do sztucznych żerowisk. Przytacza cały szereg opisów różnych drabinek, kociołków, korytek i t. p., a w związku z tem wspomina także o soli, wapnie i innych związkach chemicznych, pożądanych dla organizmów zwierzęcych i wreszcie podaje różne sposoby dostarczenia tych środków zwierzynie, oraz przytacza wielką ilość starannych i dokładnych rysunków i fotografij, które czynią jego wywody jasnemi i plastycznemi.

Ponieważ nowa ustawa łowiecka Rzeszy reguluje liczbę odstrzału zwierzyny dla każdego rewiru łownego, przeto autor przestrzega przed fałszywą interpretacją tego ustępu ustawy i daje wskazówki co do prawidłowego odstrzału kozłów i innej zwierzyny, któryby zapewnił odpowiedni stosunek płci i żywotność gatunku. Trudniejsza jest selekcja kóz, lecz i tu autor służy zawsze radą osobistą i wskazówkami.

Pobieżnie potraktowany jest ustęp o zającach, tym najpopularniejszym gatunku zwierzyny łownej na naszych polach Wprawdzie zając, dzięki swej wielkiej skłonności przystosowania się do warunków klimatycznych danego obszaru, wymaga mniejszej opieki ludzkiej, tem niemniej jednak, ze względu na popularność tej zwierzyny, należałoby mu poświęcić trochę więcej miejsca. Autor ogranicza się tylko do podania sposobów polowania na tę zwierzynę, wychodząc przytem z założenia, że każdy rodzaj polowania może być dobry lub zły, zależnie od tego, czy jest stosowany z umiarem, czy też przeradza się w zwykłą rzeź, nie mającą nic wspólnego ze sportem myśliwskim i z hodowlą.

Ciekawe jest to, że niemiecka ustawa łowiecka bierze w ochronę również dzikiego królika, którego u nas tępi się bezwzględnie przez cały rok. Zdaniem autora ochrona królików pożądana być może ze względu na warunki terenowe danego łowiska, lecz częściej niema w tym wypadku żadnego uzasadnienia.

„Sympatycznym cudzoziemcem" nazywa autor bażanta, któremu poświęca kilkanaście stronic swej książki. Przeglądając poszczególne zagadnienia dotyczące bażanta, znajdujemy tu wskazówki odnośnie zaaklimatyzowania go na nowym terenie, urządzania żerowisk bażancich, sztucznych wylęgarni, hodowli piskląt i t. p.

Najciekawszą częścią następnego rozdziału jest ustęp poświęcony hodowli kuropatw, a więc sposobowi sztucznego wylęgu, opieki, karmienia i t. p. Na uwagę zasługują proste urządzenia, umieszczane w Niemczech na dyszlu żniwiarki, w celu zapobieżenia niszczeniu kuropatw podczas żniw

Oddzielnie omówione są również cietrzew, dzika kaczka i słonka.

Z wielką znajomością rzeczy potraktował autor drapieżniki. Niewątpliwie każdy miłośnik przyrody podzieli zdanie autora, że człowiek nie powinien i w tej dziedzinie silić się na ulepszanie przyrody. Korygacje takie porównuje autor słusznie z gospodarką słonia w składzie chińskiej porcelany. Ingerencja człowieka jest wobec drapieżników konieczna, lecz i tutaj obowiązuje umiar i rozwaga. Znajdujemy tu opisy sposobów życia każdego drapieżnika i wszystkich narzędzi, któremi myśliwy posługuje się w walce z niemi.

Ostatni rozdział poświęca autor psu myśliwskiemu, pomocnikowi myśliwego i opiekunowi zwierzyny.

Teoretyczne wywody przeplata często przykładami z własnej praktyki myśliwskiej i ożywia w ten sposób fachowe i często suche dane. Streszczając się, można powiedzieć, że wszystko to, co dotyczy kozła, zająca, królika, bażanta, kuropatwy, cietrzewia, słonki, gołębia, lisa, borsuka i innych drobnych drapieżników, zostało w tej książce w sposób praktyczny zo-

brazowane. Książka ta jest, że tak powiem, praktycznym brewiarzem dla myśliwego, dbającego o dobry stan zwierzyny łownej w swym rewirze.

Estetyczny wygląd tej książki, przejrzysty druk, kredowy papier, wiele szkiców, rysunków i fotografij, czynią z niej prawdziwą ozdobę każdej biblioteki. Cena Rm 6.80.

STEFAN M. MACKIEWICZ

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

DER DEUTSCHE JAEGER.

Nr. 1/1939 str. 8. Dr. Punzengruber *„Jugosłowiańskie zwierciadło łowieckie"*. — Autor, zamieszkujący Jugosławję oddawna, charakteryzuje osobno każdy z krajów, wchodzących w jej skład. Najlepiej stoją sprawy łowieckie w Słowenji, która, stanowiąc długie lata część składową b. Austro-Węgier, stosowała obowiązującą tam ustawę łowiecką. Ludność, wdrożona do pozytywnego stosunku do łowiectwa, przechowała dobre tradycje i dziś, podporządkowując się z całą świadomością przepisom nowego, już własnego prawa łowieckiego. Rozmaitość topografji Słowenji, uwarunkowuje i dużą rozmaitość jej zwierzyny. W zachodniej, górzystej części kraju, o charakterze alpejskim, występują bardzo licznie kozice, których mocną budowę, piękne rogi (haki) i grzywy podziwiano na wystawie berlińskiej. Tamże mają stanowiska koziorożce. Jeleni mało, ale sarn jest nietylko dużo wszędzie, zarówno w górzystej części Słowenji, jak i w jej dolnych partjach, ale osiągają one w niektórych miejscowościach, np. w Gottschee (?) niezwykłego rozwoju poroża, spotykanego tylko w Syberji. Z dużych drapieżników posiada Słowenja niedźwiedzia, rysia, wilka. Stan drobnej zwierzyny nie jest najlepszy, co przypisać należy postępującej parcelacji większej własności.

Ta sama przyczyna odbija się na stanie łowiectwa w Chorwacji. Duże obwody łowieckie pozostały tylko w rękach nielicznych właścicieli cudzoziemców, to też tam tylko, oraz w lasach państwowych spotyka się jeszcze piękne rykowiska jeleni i duże stada dzików. W pozostałej części kraju łowiska należą przeważnie do obwodów wspólnych, to też tam zaginęły już głuszce i cietrzewie, i jedynie nad Dunajem spotka się myśliwy ze wspaniałym dotąd stanem kaczek, gęsi i innej zwierzyny skrzydlatej, wodnej i rzecznej.

To samo, może nawet w silniejszym jeszcze stopniu, można powiedzieć o bagnach w pobliżu Mostaru, w Bośni. Tysiące, jeśli nie setki tysięcy kaczek, brodźców, gęsi, czapli, kszyków unoszą się nad temi bagnami, nadając im charakter zupełnie egzotyczny. Ale Bośnja posiada i grubą zwierzynę, jak kozica, niedźwiedź, wilk, a obok tego sarna, głuszec, kuna. Brak tu tylko zupełnie jelenia, wyniszczonego oddawna. Zato sąsiadujące z Bośnją na południe i zachód Hercegowina i Dalmacja są pod względem łowieckim zupełnie wyjałowione. Tylko lis, czasem szakal ożywiają pustkę.

Jeżeli chodzi wreszcie o największą połać Jugosławji, Serbję, to rozróżniać należy Serbję północną od południowej. Na północy istnieje tylko polowanie na drobną zwierzynę, o którą mało się dba, gdyż ludność rolnicza żadnego zainteresawania w tym kierunku nie wykazuje. Tylko przy ujściach rzek do Dunaju, na powstałych tam rozlewiskach, znowu spotykamy wielką mnogość ptactwa błotnego i wodnego. Inaczej jest na południu. Górzyste pogranicza z Bułgarją, Grecją i Albanją, porośnięte lasem, o rzadkiej ludności i klimacie kontynentalnym, z gorącem latem i surową zimą, stwarzają warunki pierwotnego bytowania, w którem życie należy do silniejszego. To też tu polowanie nabiera swoistego posmaku, bo obok dzików poluje się tu głównie na wielkie drapieżniki, jak niedźwiedź, wilk, ryś, żbik. Ale polowanie w górach tutejszych jest trudne i wymaga dużej wytrzymałości fizycznej.

J. G.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWECKIEGO ZA ROK 1938.

Skład Związku.

Rok sprawozdawczy 1938 stanowił końcowy etap wprowadzenia w życie struktury organizacyjnej Polskiego Związku Łowieckiego, ustalonej postanowieniami nowego statutu.

Po odbyciu się Powiatowych i Wojewódzkich (Oddziałowych) Walnych Zgromadzeń, na których ukonstytuowane zostały Powiatowe i Wojewódzkie (Oddziałowe) Rady Łowieckie, Walne Zgromadzenie Związku w dniu 16 stycznia dokonało wyboru pierwszej Naczelnej Rady Łowieckiej.

Skład imienny władz wszystkich instancyj organizacyjnych Związku oraz powołanych przez władze naczelne Komisyj i Sekcyj Związkowych ogłoszono w „Kalendarzu myśliwskim" na rok 1939 (str. 327—461).

Na dzień 1 stycznia r. 1938 Związek liczył w swych szeregach 6.670 członków zwyczajnych i 1.317 członków nadzwyczajnych, na dzień zaś 31 grudnia roku sprawozdawczego liczbą członków zwyczajnych wynosiła 9.000 (przybyło 2.330), nadzwyczajnych 2.763 (przybyło 1.446), ogółem przybyło w ciągu roku 1938 — 3.776 członków.

Stan członków w poszczególnych Oddziałach obrazuje następujące zestawienie:

	zwyczajnych			nadzwyczajnych		
	1.I.1938		31.XII.1938	1.I.1938		31.XII.1938
Białostocki	338	—	605	51	—	80
Kielecki	434	—	550	25	—	85
Lubelski	530	—	902	23	—	181
Łódzki	512	—	382	7	—	3
Małopolski	1.084	—	1.392	206	—	699
Poleski	211	—	268	117	—	298
Pomorski	508	—	1.142	89	—	432
Śląski	205	—	325	180	—	193
Warszawski	760	—	1.030	94	—	296
Wielkopolski	1.300	—	1.520	350	—	388
Wileński	363	—	438	131	—	86
Wołyński	425	—	446	44	—	20
	6.670	—	9.000	1.317	—	2.763

Łowczych i Podłowczych Związek posiada we wszystkich powiatach Rzeczypospolitej.

Prace Naczelnej Rady Łowieckiej i Komitetu Wykonawczego. Naczelna Rada Łowiecka odbyła w roku sprawozdawczym trzy posiedzenia plenarne, desygnowany zaś przez Radę Naczelną Komitet Wykonawczy — dziesięć posiedzeń.

Prace naczelnych władz Związku w zakresie organizacji wewnętrznej szły w kierunku zapewnienia Oddziałom Związku jak najszerszych możliwości działania i rozwoju.

W myśl postanowień § 71 statutu, nadana została Małopolskiemu Oddziałowi Związku, Małopolskiemu Towarzystwu Łowieckiemu we Lwowie — delegacja Związku na terytorjum województw: lwowskiego, tarnopolskiego, stanisławowskiego i krakowskiego, oraz zatwierdzony został nowy statut Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, odpowiadający warunkom § 71 statutu Związku.

Na podstawie § 37 statutu, Naczelna Rada Łowiecka nadała Oddziałowi Związku w Poznaniu nową nazwę: Wielkopolski Oddział Polskiego Związku Łowieckiego.

Zgodnie z wnioskiem Naczelnej Rady Łowieckiej, Walne Zgromadzenie Związku obniżyło składkę członkowską dla uczącej się młodzieży — do wysokości zł. 6.— dla członków zwyczajnych, a zł. 3.— dla członków nadzwyczajnych. Przypomnieć należy, iż, na podstawie uchwały Walnego Zgromadzenia Związku z roku poprzedniego, ulgową składkę członkowską w tej samej wysokości opłacają również funkcjonarjusze lasów państwowych i służby leśnej do stopnia leśniczego włącznie.

Obniżono cenę związkowych odznak członkowskich ze złotych 4,20 do zł. 2,50, a nadto wprowadzono minjaturki odznak członkowskich, których cena sprzedażna wynosi zł. 2.— za sztukę.

W ustalonym w roku poprzednim wzorze stroju łowieckiego dla członków Związku — wprowadzono drobne zmiany, polegające na ustaleniu dystynkcyj w postaci haftowanego na kołnierzu kurty złomu jodłowego: złotego — dla wszystkich mandatarjuszy Związku, zielonego zaś — dla członków zwyczajnych, a nadto na ustanowieniu — obok kapelusza kształtu góralskiego, który używany być ma podczas wystąpień i uroczystości oficjalnych — wzoru zwykłego kapelusza myśliwskiego na użytek codzienny.

Ustalono wreszcie wzór chorągiewki samochodowej dla członków Związku.

Dla ułatwienia i ujednostajnienia ewidencji członków, Komitet Wykonawczy ustalił wzór kartoteki ewidencyjnej dla członków zwyczajnych i nadzwyczajnych, przesyłając wszystkim Oddziałom odpowiednie ilości kart obu typów wraz z pudłami kartotekowemi.

Rozesłane również zostały formularze ewidencyjne, ułatwiające utrzymywanie w aktualności wykazów składu osobowego władz wszystkich instancyj Związku. Na podstawie zebranych tą drogą danych zamieszczony został w „Kalendarzu myśliwskim" na rok 1939 dokładny wykaz tych władz. Formularze takie rozsyłane będą co roku.

Celem zapoczątkowania statystyki łowieckiej, której dotychczas nie było w Polsce, Komitet Wykonawczy opracował i rozesłał Oddziałom w odpowiednich ilościach instrukcję w sprawie zbierania danych statystycznych, dotyczących zarówno stanu zwierzyny, jak i gospodarki łowieckiej, oraz specjalne formularze statystyczne. Akcja ta w roku sprawozdawczym nie dała jeszcze zadowalających wyników, nie wszyscy bowiem Łowczowie i Podłowczowie Powiatowi dołożyli w tym kierunku starań; przyjmując jednak na usprawiedliwienie wzmożoną działalność organizacyjną, zmierzającą do zrzeszenia w Związku jak największej liczby myśliwych, a także i działalność w kierunku znormalizowania współpracy organów Związku z władzami administracyjnemi, należy mieć przekonanie, że już najbliższe lata nie nastręczą przeszkód w pracach statystycznych.

Powiatowa Rada Łowiecka w Zamościu (Oddział Lubelski) opracowała szczegółowy projekt programu egzaminacyjnego dla kandydatów na członków Związku. Jakkolwiek § 8 statutu przewiduje możność poddawania egzaminowi kandydatów na członków nadzwyczajnych, to jednak wprowadzenie już w chwili obecnej takiego egzaminu władze Związku uznały za przedwczesne. Natomiast powołana została specjalna Komisja, która, na podstawie projektu Powiatowej Rady Łowieckiej w Zamościu, opracować ma broszurkę, zawierającą zbiór wszelkich potrzebnych każdemu myśliwemu wiadomości. Broszurka ta wydawana będzie bezpłatnie wszystkim przystępującym członkom.

Ponieważ niektóre postanowienia statutu Związku nasuwały pewne wątpliwości w interpretowaniu, Komitet Wykonawczy ustalił właściwą interpretację tych postanowień, podając ją do wiadomości i stosowania Oddziałom Związku w okólnikach.

Kładąc szczególny nacisk na akcję propagandową, władze Związku ustaliły regulamin Komisji Propagandowej i wprowadziły do budżetu Związku specjalną sumę na wydatki organizacyjno-propagandowe. Działalność Komisji Propagandowej przedstawi oddzielne sprawozdanie.

Dla udostępnienia szerszym kołom myśliwych prenumerowania „Łowca Polskiego", obniżona została z dniem 1 stycznia r. 1939 wysokość prenumeraty do sumy zł. 24.— rocznie, przyczem organ Związku wydawany jest obecnie jako dwutygodnik, a nie jak w roku ubiegłym — co dziesięć dni. Przez zmniejszenie ilości numerów w roku z 36 do 24, bez zmniejszania jednak ogólnej ilości stron druku w roczniku, a nawet przy jej powiększeniu — można było przewidzieć osiągnięcie pewnej różnicy w wydatkach na porto, koperty i papier okładkowy, co pozwala na druk okładki na lepszym papierze, na dalsze powiększenie ilości klisz, wreszcie na zwiększenie objętości w stosunku rocznym. Prenumerata dla członków Związku obniżona została do sumy zł. 20.— rocznie, a Łowczym i Podłowczym Powiatowym, którzy tego żądają, przyznawane są ulgi 50% od normalnej opłaty (płacą więc zł. 12.— rocznie). Dążeniem władz Związku jest osiągnięcie możliwości zastosowania dalszej obniżki prenumeraty „Łowca Polskiego", do czego jednak dojść może stopniowo, przy znacznem powiększeniu nakładu pisma, a to jest możliwe w miarę wzrostu liczby prenumeratorów.

W odniesieniu do wydawnictwa „Łowiec Polski" Naczelna Rada Łowiecka powzięła uchwałę następującą:

„Łowiec Polski" jest — w znaczeniu §§ 3 (pkt. 10), 24, 43 i 54 statutu Polskiego Związku Łowieckiego — jedynym oficjalnym organem Związku i wszelkich jego instancyj.

Uznając za wskazane — niezależnie od wydawania organu Związku — podjęcie akcji wydawniczej, mającej na celu popularyzowanie wiedzy łowieckiej, władze naczelne przeznaczyły w budżecie specjalny kapitał wydawniczy.

W zakresie gospodarki finansowej, w ramach uchwalonego przez Walne Zgromadzenie Związku budżetu na rok 1938, Naczelna Rada Łowiecka ustaliła zasady budżetowania, zatwierdziła budżety poszczególnych Oddziałów i dokonała podziału dotacyj, określając przytem sposób i warunki ich wypłaty.

Uznając, że przewidziane w statucie Związku terminy ostateczne zwyczajnych Walnych Zgromadzeń Powiatowych, Wojewódzkich i Związku — są zbyt późne, Naczelna Rada Ło-

wiecka ustaliła następujące terminy, które obowiązywać miały od roku 1939:

Walne Zgromadzenia Powiatowe odbywać się winny w styczniu, Wojewódzkie — w lutym, Związku zaś — w marcu każdego roku.

Terminy te w roku bieżącym, z powodu trudności lokalnych nie na całym obszarze kraju mogły być zachowane, co musiało pociągnąć za sobą opóźnienie Walnego Zgromadzenia Związku, które następnie uledz musiało dalszemu przesunięciu z przyczyn, związanych z ważnemi wydarzeniami politycznemi.

Zachowanie terminów tych w latach następnych jest konieczne ze względu na budżet ogólny Związku, który ustalany być winien w początku roku budżetowego.

W wykonaniu uchwały Walnego Zgromadzenia, Naczelna Rada Łowiecka utworzyła Sekcję Ochrony Bobra i zatwierdziła jej regulamin. Na skutek podjętych przez Komitet Wykonawczy starań, zaprojektowany przez Walne Zgromadzenie czas ochronny dla bobrów w okresie od 11 listopada do 31 października — został przez Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych uwzględniony w projekcie noweli do prawa łowieckiego.

Zgodnie z postanowieniami Walnego Zgromadzenia, opracowany został i złożony Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych oraz Ministerstwu Skarbu memorjał, uzasadniający podstawy zwolnienia od opłat stemplowych kart łowieckich, wydawanych zaprzysiężonym strażnikom łowieckim oraz od podań o zaprzysiężenie strażników łowieckich. Nadto, opierając się na obowiązujących przepisach prawnych, Komitet Wykonawczy złożył Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych wniosek o poddanie rewizji wogóle sprawy opłat stemplowych od podań o wydanie kart łowieckich i pozwoleń na broń.

Odpowiedzi w tych sprawach były, niestety, odmowne.

W łączności z podjętą z inicjatywy Związku na łamach „Łowca Polskiego" i w drodze okólników propagandą w kierunku składania przez myśliwych wystrzelonych łusek od nabojów — na Fundusz Obrony Narodowej, złożony został Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych wniosek o zamieszczenie na kartach łowieckich nadruku, zawierającego apel do myśliwych, aby wystrzelone łuski składali na F. O. N. Załatwienie tej sprawy nie jest Związkowi znane.

Na złożony uprzednio Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych memorjał, wykazujący potrzebę utworzenia z wpływów z opłat za karty łowieckie „Funduszu ochrony łowiectwa" — Ministerstwo odpowiedziało, że wniosek w tej mierze uważa za słuszny i celowy, wprowadzenie go jednak w życie będzie mogło nastąpić jedynie w drodze nowelizacji prawa łowieckiego. Nie podzielając tego stanowiska, Komitet Wykonawczy złożył Ministerstwu ponowny memorjał, uzasadniający prawne podstawy utworzenia takiego funduszu już na mocy obecnie obowiązującego prawa łowieckiego. Decyzja w tej mierze jeszcze nie zapadła.

Na żądanie Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z jednej strony, a na podstawie wniosków i opinij Oddziałów Związku — z drugiej strony, Naczelna Rada Łowiecka i Komitet Wykonawczy występowały w szeregu wypadków z opinją lub inicjatywą w sprawie terminów ochronnych dla niektórych gatunków zwierzyny.

Rozpisano ankietę do Oddziałów Związku o nadesłanie danych, dotyczących istotnych i urojonych szkód, jakie wyrządzają dziki w plonach rolnych, oraz korzyści, jakie dziki przynoszą gospodarce leśnej. Zebrany w drodze ankiety materjał posłuży za podstawę wystąpienia, uzasadniającego potrzebę utrzymania czasu ochronnego dla dzików.

Związek wystąpił również do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z wnioskiem o wprowadzenie w szkołach powszechnych pogadanek, pouczających o konieczności ochrony zwierzyny.

TREŚĆ NUMERU:

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 6.—; za pół roku zł. 12.—; za rok zł. 24.—; miesięcznie zł. 2.—. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego:** za kwartał zł. 5.—; za pół roku zł. 10; za rok zł. 20.—; miesięcznie zł. 1.75. Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklam. w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrach. Nr 206, Warszawa 1.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25) codziennie; prócz sobót, między 3-ą i 4-tą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Redaktor: Walenty Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki. Sekretarz Redakcji: Wł. Zabiełło.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego, tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

Bażantyna — karma dla kur bażancich woljerowych, zwiększająca znacznie nośność, oraz **karma dla młodych bażantów.** Liczne zaświadczenia z kilkoletnich prób najpoważniejszych bażantarni. Zamówienia przyjmuje **S. Kamocki. Milanówek, Grudowska 12. Tel. 31-47.**

Hodowla „Splendor" zawiadamia uprzejmie pp. Myśliwych zainteresowanych nabyciem szczeniąt iż są do odstąpienia pointry, settery angielskie, irlandy, wyżły niemieckie gładkowłose i szorstkowłose z nast. miotów: Splendor Aria — Marbiel Ingo. Splendor Werwa Gerston L'or. Splendor — Sena — Marbiel Ingar. Splendor Kontra Blackfield Drop. Splendor Słonka — Grigg of Otham. Splendor Ara z Dębiny — „Czok z nad Czarn. Jeziora". Hodowla „Splendor" w Zielonce. Informacje: Warszawa, Krucza 34—20. Tel. 851-14.

Kupuję odstrzał na kilka dobrych rogaczy. Zgłoszenia proszę skierować pod: Dr Axel Weiss, Małgów, p-ta: Pogorzela, pow. Krotoszyn. Jestem członkiem „Polskiego Związku Łowieckiego".

Leśnik bażantarnik fachowiec, znajomość wzorowej gosp. leśnej prowadzi racjonalnie hodowle zwierzyny, poszukuje posady żonatego od 1 lipca. Zgłosz. Ł. P. Nr. 955.

Mam na sprzedaż psy polowe „Seterkę Gordon" w trzecim polu dobrze wytresowaną, gwarantowana przez związek myśliwych i dwa psy niemcy również dobrze ułożone. Wola Książęca (leśniczówka), pocz. Witoszyce, pow. Jaronie.)

Szczenięta pointry po Marbiel Gryfie (7 pierwszych nagród na próbach polowych) i Gerszon Jarra (II-ga nagroda na próbach polowych), urodzone 2 maja b. r., do nabycia. Wiadomość: Wiktor Bortnowski, Al. 6-go sierpnia 32, m. 15. Telefon 8-54-31.

Szczeniaki setry irlandzkie pełnej krwi z rodowodami, rodzice, dziadkowie premiowani, do sprzedania z końcem czerwca. Warszawa, Puławska 99c, tel. 441-99.

Szkockie Teriery, 10 tygodniowe, wysokiej krwi, ewentualnie z rodowodem, 80 — 100 zł. sprzeda Dr. Zenkteler, Śmigiel — Wielkopolska.

Spaniel angielski, Springer z rodowodem z hodowli pani Generałowej Jarnuszkiewiczowej, urodzony dnia 18/V 1937 r.



Doskonały aporter w polu i na wodę, silnej budowy. Z powodu wyjazdu właściciela do sprzedania. Wiadomość: Mieczysław Meisner, Podlodów, st. p. Sobieszyn.

Stary, znakomity miód rzadki trunek, poszukiwany przez znawców, **z 1867 roku,** już tylko 50 butelek, w oryginalnym opakowaniu, **okazyjnie do sprzedania,** w całości lub częściowo. Wiadomość: „Łowiec Polski" telefon 666-29. Piśmiennie: Warszawa, Nowy Świat 35. „Łowiec Polski",

Teren do wydzierżawienia na polowanie w okolicy Warszawy, zwierzyna: kuropatwy, kaczki, kozły i inne — poszukuję od zaraz, oferty dla T. D.

Wyżły niemieckie, cena 150.— zł. 200.— i 400.— zł. Jamniki szczenięta szorstkie 50.— zł., krótkowłos 40.— zł. Rodowody. Sprzeda Leś. Jutrowski. Hodowla Komorze, Osiek, pow. Starogard.